№ 41. Warszawa, dnia 1 (13) Października 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez **L. S. W.**

III.

Elżbieta Drużbacka.

Mniemane upośledzenie kobiet w dawnej Polsce.—Stanowisko kobiety u plemion aryjskich.—Wpływ chrześciaństwa. Przeważny wpływ kobiet u nas dawniej i teraz. — Praca i wykształcenie kobiet w dawnej Polsce. — Kobiety autorki. — Zofia Oleśnicka. — Elżbieta Drużbacka; jej biografia. — Stanowisko Drużbackiej w historyi literatury. — Zalety i wady jej poezyi. — Szczegółowy rozbiór i próbki pracy Drużbackiej.— Wiersze opisowe.— Wiersze światowe. — Elegie. — Wiersze religijne, moralne i alegoryczne. — Zamknięcie.

(Dalszy ciąg).

Przystępując do szczegółowego opisu pór roku, poetka rozpoczyna opis wiosny następującemi wdzięcznemi wierszami:

O złoty wieku w postaci dziecinnej!
Wiosno wesoła! Toć się pięknie śmiejesz.
Wszystko twej ujdzie płochości niewinnej,
czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz.
Wolnoć, jak dziecku, dla swojej zabawki,
dziś urodzone straszyć śniegiem trawki.
Przecie choć straszysz, nie uczynisz szkody
ni skrzepłem zimnem, ni przykrem gorącem:
przyjemna pora, czas miły, czas młody,
ma swą umowę z powietrzem i słońcem;
wie kiedy zagrzać, wie kiedy ochłodzić,
ma sposób starość orzeźwić, odmłodzić.

Mówi dalej o zieloności traw i drzew, o kwiatach, ptaszkach i zajęciach rolniczych. Erudycyi mitologicznej w tym ustępie o wiośnie jest najmniej i niewątpliwie opis wiosny jest najudatniejszym i najbardziej rodzimym utworem Drużbackiej. Oto jeszcze kilka wierszy o sadach:

Bóstwo Pomona, która sadom sprzyja,
drzewa rodzajne ma oddane sobie;
z krzywym się nożem, jak Cyga uwija,
te z wilków struże, z tych mchy siwe skrobie;
nic tu po suchem, sękowatem drewnie —
młodych i gładkich trzeba tej królewnie.
Wiosna tu panią, wiosna czasem władnie,
młodość tu sama mieszka w żywej porze,
miejsca tu nie ma śmierć, co starych kradnie,
nikt tu w żałobnym nie chodzi kolorze.

Opis lata jest daleko słabszym: wiersz dość pospolity, wyrażenia czasem trywialne, a erudycyi mytologicznej za wiele, nawet o jagodach, grzybach, sianokosie, żniwach i burzach mówi poetka sposobem przyjętym przez pseudo-klasyków owej epoki, wprowadzając rój bóstw starogreckich.

W opisie jesieni poetka mówi o zwożeniu zboża do stodół, o winobraniu i zbieraniu owoców. O pełnych stodołach powiada:

Będzie dać z czego podatek, pogłówne,
będzie się dzielić czem z żydem na poły,
szlachta korzenno jadać ma ochotę,
gdy Wisłą spuści pełną zboża flotę.

Mówiąc o jabłku, które niegdyś pierwszych rodziców skusiło, poetka, ujmując się za płcią swoją, zapytuje „czemu nie Adam więcej ukarany od Ewy" a otrząsanie i obijanie jabłek uważa za karę tego zdradzieckiego owocu. Wspominając o miodobraniu, zachęca do oddawania wosku na użytek kościoła i z prawdziwą pobożnością mówi o winie, używanem do Św. ofiary.

Szczęśliwe góry, szczęśliwe winnice,
z których Pan trunek obrał do wieczerzy,
przemienił wino w krwie swojej krynice,
częstuje wszystkich, kto tylko w to wierzy.

Opis zimy rozpoczyna się takim udatnym wstępem:

Okropna zimo, dzika, nieużyta!
Nikt się z twojego przybycia nie cieszy;
każdy cię srogą macochą przywita,
ani otworzyć bramy nie pospieszy,
i owszem gumno, śpichlerz, ogród z zielem
zamkną, jakoby przed nieprzyjacielem.
Nazwa cię skąpą, łakomą, obżartą,
spytają: czemuś blada, stara, krzywa,
tak z wszelkich ozdób obraną, obdartą.
Na cieple schodzi, na zimnie nie zbywa,
komin ci ojcem, fajerka zaś matką,
kożuch dobrodziej, a zapiecek chatką.
Nazwą cię jeszcze owym chudym wołem,
którego we śnie Farao zobaczył,
ten siedm zjadł tłustych i z rogami społem,
przecie tłustości nikt na nim nie baczył.

Poemacik „Opisanie czterech elementów szkodliwych i pożytecznych: ziemi, wody, ognia i powietrza", równie jak i poprzedni, na cztery części podzielony, daleko jest słabszym. Przeważa tu tok wiersza płaski i erudycya powszednia z biblii i ze starożytności zaczerpnięta. Najwięcej miejsc udatnych znajdujemy w ustępie o wodzie. Tu poetka przemawia niekiedy żartobliwie jak np. gdy mówi o Agarze:

Wygnana Agar z domu Abrahama,
Że jej staruszek rad zaglądał w oczy i t. d.

Zakrój satyryczny dostrzegamy w następujących wierszach o Rebece.

Nie dziw że czysta (woda) czystą wyswatała:
znać nie bywała panienka na rynku;
woda jej prędzej męża wyszukała,
bo przy studziennym bawiła się szynku.
Ale też Rebek takowych niewiele,
by im za wodę poseł dał manele.

Z utworów drobniejszych, nazwanych w zbiorku pism Drużbackiej „wierszami światowemi" najcenniejszą perłą jest „Pochwała lasów i miłego w nich

na osobności życia w stanie pasterskim, od pewnej pasterki". Celuje tu poetka wdziękiem rodzinnym i ujmującą prostotą, nieskończenie wyższą od wymuszonych konwencyonalnych sielanek, na zimno wysławiających Arkadyą, Dafnisów i Chloe, jak to było wówczas w obyczaju. Owa wymuszona poezya sielankowa przeznaczoną była dla dam wielkiego świata, które z kaprysu poprzebierały się za pasterki i wodziły po szpalerach angielskich uwiązane na czerwonych wstążeczkach biało wymyte, ostrzyżone i uczesane baranki; Drużbacka zaś miała poczucie prawdziwe natury i podsłuchała, jakby razem z Teokrytem, tętna prawdziwego pasterskiego życia. Śliczną tę sielankę poetka rozpoczyna w następujący sposób:

Zważywszy życia ludzkiego obroty,
uchodzę w lasy i wesołe knieje,
mając w nich więcej gustu i ochoty.
Niech kto chce, z mojej dzikości się śmieje,
nie dbam nic na to: wolę z swej prostoty
las, aniżeli świat pełen niecnoty.
Nie umiem bajek prawie szeptać w ucho,
nie znam łaciny ni terminów prawnych,
wody sprowadzić tam gdzie było sucho;
o Cyceronach nie słyszałam sławnych;
więc kto tych czasów w tej nie ćwiczon szkole,
niech pasie bydło albo kopie role.
Lasy kochane! zielone chłodniki!
Drzewa przyjemny szum dające z siebie!
Trawy, pagórki, biegące strumyki!
Przy was niech mieszkam choć o suchym chlebie.
Zdrowszy mi napój z waszych źródeł żywych,
niż drogie trunki, gdy z rąk nieżyczliwych.

Po kilku prostych i udatnych obrazach życia pasterskiego, poetka opisuje spotkanie się kilku pasterek.

My wdzięczne pieśni śpiewamy koleją,
lasy słuchają, a gaje się śmieją.
Nie wiem co tęsknić, pasąc owiec trzodę;
z pewnością strzedz ich potrzeba od wilka.
Przebrnąwszy potok, oczyma powiodę,
aż pastereczek bieży ku mnie kilka;
z temi się witam, chwytając za szyje
wnet jedna drugą zczesze, splecie, zmyje.

Pasterki szczebiocą pomiędzy sobą, a potem się gonią:

Więc wszystkie w zawód bieżąc, jedna drugą
popchnie w bok, by się wyprzedzić nie dała:
ta w miękką trawę upadnie, jak długa,
ta już tymczasem kwiatków nazbierała.
Z tym wieńce wijąc, głowy sobie stroim,
o brylantowe korony nie stoim.
Szczera wesołość, śmiech, żarty niewinne
nikogo zgorszyć, owszem, cieszyć mogą;
prostoty naszej niech się uczą inne,
przystojnych zabaw z nami idą drogą.

Dalej opisuje poetka posiłek pasterek:

To, co ma która, wybiera z koszyka,
jemy ser z chlebem i masło z jaszczyka.
Po tym bankiecie, chcący trunku zażyć,
spieszno biegniemy do naszej piwnicy;
którą nad winne więcej trzeba ważyć —
czystej jak kryształ pod skałą krynicy.
Z tej, codzień dzbanem pijąc, nie ubywa,
w pełni zostaje, nikt jej nie doliwa.

Następnie pasterki „igrają w babkę pomiędzy jedliny", a wieczorem zganiają trzody i wracają do domu:

Samym wieczorem, zbliżając ku domu,
zganiamy trzody społem do gromady;
poznają owce, co należy komu —
bierzemy swoje, bez swaru, bez zwady:
żadna nie zbłądzi do cudzej owczarnie,
każda do swego szałasu się garnie.
My zaś pasterki do chaty chróścianej,
nad pałac cichszej, spieszym na spoczynek.
Mleka zsiadłego na misce glinianej
podjadłszy, nie śląc po mięso na rynek;
nie psują takie potrawy żołądka,
dłużej my, niż pan, żyjem niebożątka.

Temi słowy kończy się ten wdzięczny obrazek.

Reszta „wierszy światowych" odznacza się przeważnie nastrojem satyrycznym. Tak w wierszyku „Na kompanią franc-massonów dla kawalerów i na kompanią de Mops dla dam" poeta wyszydza zakradające się wtedy do Polski towarzystwa masońskie i szerzące się pomiędzy damami zamiłowania do piesków, z gatunku mopsów. Najgodniejszą zaś uwagi jest satyra p. t. „Skargi kilku dam, wspólnej kompanii będących, dla jakich racyi z mężami swoimi żyć nie chcą". Poetka opowiada, jakoby raz przypadkiem w altanie ogrodowej podsłuchała skargi kilku dam, które tam gawędziły, „coraz z tabakier zażywając rapy" (czyżby istotnie zażywanie tabaki było wówczas pomiędzy kobietami wyższego świata upowszechnionem?). Widząc łzy i słysząc wzdychania, mówi poetka:

mam litość nad stworzeniem
płci mojej, ledwie wraz z niemi nie kwilę,
nie wiedząc, że to płaczą krykodyle.

Oto bowiem pierwsza dama skarży się na swego męża w te słowa:

że jak smok siedzi na łańcuchu w domu,
nic nie dba, bym się czem miała zabawić;
sługi nie pytaj, zagrać nie ma komu,
ani takiego, żeby mnie zrozumiał,
w mądrych dyskursach rezonować umiał.
Jakże tu mieszkać z takim domatorem,
co tylko wołom karmnym krzyżów maca,
zboże na targi wyprawuje worem —
prostych to osób z taką zrzędą praca.
Kawy w mym domu nie znajdzie trzech ziarnek;
piwa mi z serem zagrzać każe garnek.

Druga wypowiada tak swoje pretensye:

Ach miła sąsiadko!
Więcej ja cierpię z moim skąpcem męki:
kaszki na wieczór nagotuje rzadko,
kluczy z za pasa nie da mi do ręki;
muszek, wstęg, śpilek z marsem kiedy kupi;
jak z nim żyć, kiedy i skąpy i głupi?

Trzecia tak się skarży:

fraszka to, godna śmiechu sprawa.
Mnieby zapłakać, gdy nie znam co roby,
sejmów nie widzę, nie wiem gdzie Warszawa;
choćby mi boków naszturchano w ciżbie,
byłem z raz była w senatorskiej izbie.
Nie wiem, co jest bal, asamble, reduty;
mój mnie jegomość osadził przy kurach.
Paź do ogona ma łatane buty;
o blondynowych nie chce garniturach
wiedzieć, żebym je mieć mogła na modę.
Otóż z tych racyi z gapiem się rozwiodę.

Czwarta tak mówi:

Mój Borys nie chciał sprawić mi bekieszy
takiej, jak teraz modny wiek zażywa:
aksamit ponso, podszyty marmurkiem,
po szwach z masyfu (?) bramowano sznurkiem.
Sukna mi kupił miasto aksamitu,
szlamy (?) wytarte z lamusu sprowadził;
nadto u żyda zaciągnął kredytu;
mnie przy gałganach z kuśnierzem zasadził.
Zważcież, jeżeli nie mam się czem smucić —
z tak słusznych przyczyn prostaka porzucić.

Skarga piątej damy jest następująca:

jam się w wachlarzyku
pięknym kochała, gdzie miniatura
postać Kupida, niby w ołtarzyku,
wstawiła: co mu dać mogła natura —
wszystko wyraźne w tak subtelnej sztuce
było, a resztę dla żalu ukrócę.
Mój Satyr, wziąwszy wachlarz w grube ręce,
jak jął wachlować, niby kowal miechem,
nie uważając na członki chłopięce,
rozumiał, że to z pachołkiem Wojciechem
za pasy chodzi, złamał kość słoniową;
rura za rurę osądził wołową!
Ja pełna będąc *cholery* (gniewu) i żalu,
odjeżdżam z domu, porzuciwszy dzieci.
Na pożegnanie powiem mu brutalu!
Już z tobą żyję rok dziesiąty trzeci (13),
dłużej nie myślę — intencyi nie kryję —
wiedz, w jakiej cenie są galanterye!

Wysłuchawszy tego wszystkiego, poetka (w wierszach mniej udatnych) wypowiada zgrozę i oburzenie i prawi o świętości małżeństwa.

Wyborny ten obrazek pełny werwy, dowcipu, ironii i charakterystycznych szczegółów obyczajowych (tyczących się nawet mód owej epoki) i celujący przytem gładkością wiersza i poprawnością języka, jest pomimo możliwej przesady, jednym z najlepszych utworów Drużbackiej, a nawet całej poezyi XVIII wieku.

(d. n).

POSTĘP.

Dziś w erze czynów znikł pryzmat złud,
I pierzchnął marzeń świetlanych rój,
Dziś twórczą siłą praca i trud,
Sztandarem walka, łask rosą znój.

Marnieć w spokoju dziś nikt nie rad,
Każdy się ima pracy bez skarg,
Gdyż za nim dąży konieczność w ślad,
I chleb próżniaczy wytrąca z warg.

Pracują wszyscy — omamień blask
Nie łudzi człeka tęczową grą,
A życiodawcze promienie łask,
W kropelkach potu na skroniach lśnią.

Pracować trzeba, ale niech trud
Co daje bogactw mamiący blask,
Nie sprawi aby zaparł się lud
Miłości bratniej i Bożych łask.

Stworzona musem walka o byt,
Gdy samolubstwa szpeci ją trąd,
O to nie myśli promienny szczyt:
To nizkich dążeń szalony prąd!

Nie trupem szermierz co dwakroć żył
Bogu przez cnoty, ludziom przez znój,
Lecz ów, co w ziemskie prochy się wpił
I w nich zatracił świętych łask zdrój.

Ludwik Niemojowski.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

LIST XXVI.

Adam do Jerzego.

Ongród, 12 Maja.

Godzinę temu otrzymałem list twój, Jerzy. Dziękuję Ci za chwilę największej radości jakiej kiedykolwiek doświadczyłem w mojem życiu. Radość to była taka że jeżeli kiedyś. w chwili tej uroczystej, w której dla człowieka kończy się wszystko na ziemi, gasnąca pamięć moja sięgnie do przeszłości na zawsze minionej po dobre wspomnienia. wspomnę naprzód tę chwilę i powiem sobie: byłem szczęśliwy!

Nic naturalniejszego w świecie że poszedłem zaraz do jej domu. Nie sądź abym tam szedł z szałem i gorączką. Przeciwnie, doznałem ukojenia takiego jakby zagoiła się nagle rana którąbym długo nosił w mojej piersi, spadła na mnie uroczysta spokojność i wielka ale cicha radość. Z niemi chciałem powitać ją po raz pierwszy jako sercem należącą do mnie.

W oknach domu jej było ciemno. Służba powiedziała mi że wszyscy wyjechali na wieś. Sprawiło mi to zrazu dolegliwą przykrość która jednak minęła prędko. Z wiadomością którą posiadam teraz mogę czekać. Jutro zobaczę cię idealna moja Maryo i śmielej już spojrzę w głąb twoich oczu i w tę tajemnicę twego serca, która stała się już moją pewną i nieocenioną własnością!

godzina 11-ta wieczorem.

Parę godzin upłynęło od napisania kilku słów poprzedzających. Przepędziłem je na mieście, odwiedzając moich chorych. Dziwna rzecz! Oddawna już nie miałem myśli tak jasnej i tak przytomnej jak dziś i z tak żywem współczuciem nie patrzałem na cierpienia ludzkie. Myśl o Maryi nie opuszczała mię ani na chwilę ale nie przeszkadzała mi bynajmniej w zajęciach, jak się to działo w dniach poprzedzających. Owszem, mam uczucie takie jakby nagle przyobleklo mię dostojeństwo nowe dla mnie i ze zdwojoną mocą obowiązujące mię do wszystkiego do czego zawsze czułem się zobowiązanym. Tak, Jerzy, miałeś słuszność utrzymując. w którymś ze swych listów do mnie, że miłość dla kobiety może być ważną i piękną rzeczą w istnieniu najpoważniejszego choćby mężczyzny.

godzina 1-sza po północy.

Utrzymywałeś kiedyś że miłość dla kobiety może być ważną i piękną rzeczą, teraz jednak, w ostatnim swoim liście przychodzisz do przekonania że rodzina może być dobrą i powinna być szanowaną, chociażby niedostawało jej wzajemnej dla siebie miłości mężczyzny i kobiety. Pragnąłbym dopatrzeć sprzeczności w tych dwóch zdaniach twoich, ale sumiennie nie mogę. Oba mają za sobą słuszność. Rozumiem iż jakkolwiek miłością w pospolitem jej pojmowaniu gardzić nie należy, życie rodzinne nie jest romansem czyli jednym ciągiem poetycznych i namiętnych uniesień. Masz słuszność, masz słuszność ale to smutne. Trzebaby na dobry ład łączyć wszystko razem. Cóż robić jednak skoro na świecie zawsze i we wszystkiem zachodzą niedostatki pewne. Uważasz zresztą że: szacunek, przyjaźń, ufność, wspólna praca i wspólne poważne patrzenie w przyszłość, stanowią także pewien gatunek miłości który gdy istnieje, rodzina żyć może i powinna chociażby z wyłączeniem jednej z cegieł jej podstawy. Masz słuszność znowu ale w takim razie rodzina Iwickich jest dobrą rodziną i ostać się powinna... Jerzy, ty jesteś szkaradny ze swemi rozumowaniami!...

godzina 3-cia z rana.

Zamyśliłem się tak że chociaż dzień biały na świecie i do pokoju mego zagląda wschodzące słońce, lampa pali się jeszcze na moim stole. Myślałem o wielu rzeczach które minęły. Jako lekarz znałem w życiu mojem wiele domów i mnóstwo rodzin. Większość ich, wszystkie prawie ulegały wielu żywiołom rozkładu. Uderzało to mię jako spostrzegacza, bolało jako niezamarłego członka społeczeństwa. Zastanawiałem się nad przyczynami tych nieszczęść jednostkowych, które niewątpliwie składają się na wielką klęskę i groźbę powszechną i przychodziłem do przekonania, że nazywają się one: nierozum kobiet i niemoralność mężczyzn. Kobiety nie rozumieją najpospoliciej znaczenia i wagi domu i rodziny, mężczyźni ich nie szanują. Nad pierwszemi nie rozmyślałem nigdy długo ale obowiązki mężczyzn w tym względzie określałem sobie jasno, przez wzgląd choćby na kierunek własnego postępowania. Teraz, jedyna znana mi kobieta która szeroko i dokładnie pojmuje czem jest idea domu i rodziny, i ja który w myśli kreśliłem surowe przepisy moralności zobowiązującej mężczyznę a w postępowaniu stosowałem się zawsze do nich...

Szczególny traf! . . . .

. . . . Ty nie pojmujesz, Jerzy, jaki czar mieści się w wiadomości o tem że nie jestem i nie będę prostym przechodniem w jej życiu! Połączeni ze sobą bylibyśmy bez granic szczęśliwi. . . .

. . . . Ale, jeżeli prawdą jest to co piszesz że to jedna z tych natur dla których widok sprawionego nieszczęścia wysusza zdrój radości życia. „Na gruzach swej wiary“ piszesz... Tak; przeważną cechą tej szczególnej organizacyi kobiecej jest wiara. Uwierzyła w piękne ideały ludzkości, ukochała je i szła do nich pogodna, czysta, czynna jak słoneczny dzień letni. Zaszedłem jej drogę... Prawda że i ona także wstrząsnęła życiem mojem, że cierpiałem wiele odkąd poznałem ją a wyrzec się jej byłoby dla mnie przewidzieć nie mogę czem. Ale mamże prawo być samolubem i myśleć o swojem szczęściu czy swojej rozpaczy? Pierwszą tu rzeczą jest jej szczęście... stanowczy wyrok musi wydać jej wola... Ja...

Godzina 5 zrana.

Dzień dzisiejszy wszedł w pełnym majestacie wiosny. Jest to raczej dzień już letni. Zanim blaski jego zagasną, stanowczy wyrok zapadnie na trwogi i nadzieje moje. Za kilka godzin udam się po wyrok ten do niej. Wiem że i w mojej także jest mocy przechylić szalę przyszłości naszej na stronę moich pragnień. Prośba, żal, rozpacz mężczyzny, nie mogą być obojętne dla kobiety, która kocha. Mogę je przynieść jej w spojrzeniach i słowach i użyć całej mocy pociągu, który popycha nas wzajem ku sobie, aby wolę jej przechylić na stronę tę, po której widzę moje szczęście takie wielkie... Ale ja nic z tego nie uczynię...

Przez tę noc minioną która wygląda mi teraz jak tłumne zbiegowisko uczuć, marzeń i rozmyślań, powziąłem postanowienie niezłomne.

Wyrzec się jej, teraz kiedy wiem że ona także kocha, pragnie i cierpi, nie mogę i nie powinienem. Nie mogę — bo do bohaterstwa takiego albo — niedołęztwa, nie jestem zdolnym. Nie powinienem — bo mam już dla niej święte obowiązki. Zdziwiliby się zapewne temu układacze i znawcy kodeksów powszedniej moralności—niemniej przecież ja uznaję się zobowiązanym względem kobiety tej przez miłość wywołaną i sprawione cierpienie.

Ale ja własne jej i moje losy oddam w ręce jej — szczerze i prawdziwie, nie tak jak czynią to ci, którzy wydzierają szczęście swoje chwilom słabości kobiecej, wzruszenia podsycanego przez nich wszelkiemi sposoby. Gdy stanę przed nią i będę z nią rozmawiał, zmuszę do milczenia oczy moje, poskromię drżenie głosu, strzedz będę piersi aby nie wydała westchnienia ni jęku, skrzyżuję silnie ramiona, aby nie wyciągały się do niej i po nią. Przyrzekłem to sobie i — dotrzymam. Powiedziałem sobie że jej tylko wola stanowić winna o wszystkiem i na wolę tę nie położę nacisku żadnego. Nie będę ją upajał, nie będę gwałcił serca jej i wyobraźni, niech wybiera, o ile to być może, trzeźwo i spokojnie. Za obojętność — tego najwyższego szacunku mego dla niej — ona nie weźmie. Wszak wie o wszystkiem. Zrozumieć mię potrafi. Ja czekać będę tylko pierwszego jej wezwania, pierwszego jej pozwolenia, pierwszego stanowczego wyrazu jej woli, które ona objawi mi z pewnością jak kobieta szczera i pewna, że miłość przez nią ofiarowana mężczyznie musi być dla niego najwyższą łaską i najwyższem szczęściem — czekać będę aby z wdzięcznością i radością bez granic przyjąć to co dan em mi zostanie dobrowolnie, bez gwałtów uczucia i nieprzytomnego szału...

Adam.

LIST XXVII.

Marya do Klementyny.

Porzewin dnia 20 Maja.

Był to Klementyno, prześliczny zachód słońc a w szkarłacie i ogniu cały. W ogrodzie Porzewińskim stałam sama jedna wsparta o stare drewniane sztachety, strzegące wierzchołka spadzistej góry, u stóp której płynie Niemen.

Przed wyjazdem moim z Ongrodu rozbiegła się była po mieście wieść przywieziona przez kogoś kto wrócił ze stolicy, że ludzie przewodniczący nauce naszej wzywają Adama aby stanął tam pomiędzy nimi. Z wieścią tą, jak z cierniem w sercu, przybyłam do mojej rodzinnej wioski i nad znaczeniem jej dla mnie i dla niego myślałam dnie i noce. Odjedzie więc... nie mogłam wątpić o tem. Miałżeby nie być posłusznym wezwaniu obowiązku i nie oddać sił swoich sprawie, która stanowi główną treść jego życia? Wiedziałam więc że odjedzie, ale wiedziałam także iż nie uczyni tego bez zapytania mię: czy chcę abyśmy pożegnali się na zawsze? Pytanie to, szło naprzeciw mnie, z każdą godziną, z każdą minutą było mi bliższem głosem nieubłaganej konieczności, wołało do mnie: wybieraj!

Wybrałam. Przybycia Adama oczekiwałam z powziętem już postanowieniem niezłomnem. Jak, kiedy, powstało we mnie postanowienie to — tajemnica to już moja, której opowiedzieć nie zdołałabym nikomu, tak jak opowiedzieć niepodobna czarnych godzin bezsennych nocy, w których serce i głowę człowieka opasuje traiczna plecionka marzeń szalonych, nieprzytomnej rozpaczy i jasnych jak dzień, głębokich jak zagadka życia rozmyślań.

Byłam pewną że lada chwila zobaczę Adama.

Czekałam na niego i myślą przebierałam dnie najbliższej przeszłości tak jak pobożny przebiera paciorki różańca, nad każdą z nich zatrzymując się z modlitwą i westchnieniem. Duch mój rozmodlonym był też do wszystkich wiar i miłości, która jak dobre i silne Anioły strzegły dotąd mego życia — a modlitwy te moje pełne były westchnień.

U stóp góry powoli i z cichym szumem płynęła błękitna rzeka, na przeciwnym jej brzegu pięły się smutne, czarne sosny i ozłocone wierzchołki, niby ofiarne pochodnie podnosiły aż pod skłon nieba. W leszczynach obrastających stok góry czuć było dreszcze wieczornych powiewów. W dalekim też kędyś lesie, słowik witał nadchodzący wieczór, nieśmiałem jeszcze dzwonieniem.

Przyroda cała zdawała się łagodnie marzyć i ze współsennym uśmiechem oczekiwać objęć rozkosznej nocy.

Ku mnie też zwolna zbliżała się fala marzenia, aż ogarnęła mię całą z mocą niepokonaną.

Myślałam, marzyłam raczej, że gdy przybędzie on, pójdziemy razem piękną drogą nadrzeczną, tą drogą tak wązką, że na niej, pośród dwóch ścian zieloności dwoje tylko ludzi iść obok siebie może. We dwoje też tylko będziemy i nie pójdzie z nami pamięć o przyszłości... Widziałam jak tuż przy mnie, na tle drzew i nieba przesuwa się profil jego twarzy, czysty, surowy, ze spuszczoną w zamyśleniu powieką. Ale nie było to zamyślenie ciężkie, smutne, z uśmiechu który przebijał się mu po ustach odgadywałam bezbrzeżną radość... Rozmawialiśmy z sobą tak jak ludzie wolni i oddający się sobie wzajem na zawsze. Szliśmy ku temu miejscu na którem spotkaliśmy się pierwszy raz w życiu, mieliśmy usiąść nad tym samym strumieniem nad którym oboje młodzi jak wiosna, przesiedzieliśmy niegdyś krótką lecz niezapomnianą chwilę. I mówiliśmy to sobie wzajem żeśmy nigdy o sobie nie zapominali, że sami niewiedząc o tem tęskniliśmy nieraz do siebie w długich latach rozłączenia. Jak wtedy było tak teraz znowu leciały do nas z głębin lasu ciepłe powiewy z mocnemi woniami, złote wiewiórki czepiały się z szelestem po gałęziach drzew i trwożnie spoglądały ku nam, świat cały uśmiechał się do nas uśmiechami wszystkich radości i rozkoszy życia...

(d. n.)

KIANA.

Obrazek z wysp Sandwichskich

p. C. de Marigny.

(Dalszy ciąg).

Rozmowa stała się ogólną. Plan podróży księżniczki nie zupełnie zgadzał się z moim. Miałem zamiar wstąpić na górę, zejść z przeciwnej strony i udać się wprost do Kajlna, nie zbaczając do krateru. Janina nalegała abym jechał z nią razem, a wejście na górę odłożył na później. Przystałem na jej żądanie, ponieważ i z Kajlna mogłem odbyć wycieczkę na górę, a wielką miałem ochotę zobaczyć wulkan, zwłaszcza w obec przepowiedni blizkiego wybuchu.

— A ty Franku, czy nie zechcesz nam towarzyszyć?

— Czyż możesz wątpić o tem? Ale nie wiem czy teraz będę mógł się oddalić; za wielki to ciężar dla mego starego ojca aby sam tu zajmował się wszystkiem.

— Pomówię z nim o tem po obiedzie, rzekła księżniczka, bo wszak u niego pić będziem herbatę?

— Wie o twojem przybyciu i pragnie zobaczyć cię jak najprędzej i pomówić o dawnych czasach.

— Tak, wiem że to lubi, a i ja wielką w jego rozmowie znajduję przyjemność — on mnie lepiej od innych rozumie. Gdy jesteśmy razem, on jakby odmłodnieje a mnie się znów zdaje że mam jego lata i rozum.

Oczy Franka mówiły wyraźnie że nie podzielał tego zdania, gdyby Janina była się w nich przejrzała, widziałaby że jest młodą i ładną.

Do końca obiadu mówiliśmy o podróżach, wypadkach jakie w nich spotykają i układaliśmy plan zamierzonej wycieczki.

Frank nie wielki brał udział w rozmowie, był zamyślony i pilną zwracał uwagę na wszystko co mówiła księżniczka; ona była dla niego ciągle jednostajnie uprzejma i przyjacielska, ale jej spokojne, naturalne, obojętne obejście, na pozór przynajmniej nie zdradzało niczem iż widzi jak bardzo jest nią zajęty.

Po obiedzie księżniczka wyszła z pokoju — pozostałem sam z Frankiem, wyszliśmy na werendę wypalić cygara. Znaliśmy się od lat dawnych i miałem sposobność ocenić jego odwagę, prawy i szlachetny charakter. Urodził się na wyspie Hawaj, z ojca anglika i matki amerykanki; dziecinne i młodociane jego lata ubiegły w pośród pracy i zajęć nad urządzeniem tej fermy, założonej przez ojca. Sędziwy dziś ojciec jego, oddał niegdyś ważne usługi Kamehamelu I-mu. Oceniając wielkie zdolności tego zdobywcy, przyłączył się do jego cywilizacyjnego posłannictwa, wspomagał radą i czynem i w nagrodę otrzymał od niego w darze rozległe grunta, które uprawił i urządził. Kanakowie kochali go i szanowali, a Frank syn jego, doskonale znający ich język, piastował godność ich wodza i zaliczał się do rzędu krajowych dygnitarzy. Z kilkorga dzieci on jeden pozostał, matkę stracił przed parą laty, był więc jedyną podporą, prawą ręką, chlubą i radością sędziwego ojca. Frank otaczał ojca troskliwą opieką, nieograniczonem przywiązaniem i uszanowaniem; poczciwy i serdeczny chłopiec, nie można mu było zarzucić nic prócz nienaturalnego w jego wieku i położeniu smutku, który jednak tłomaczyłem tak samotnem życiem jak i zupełnem brakiem odpowiedniego wiekowi swemu towarzystwa. Goście rzadko bardzo bywali w fermie a całe miesiące upływały zanim podróżnik jakiś przestąpił jej gościnne progi.

— Jedź z nami, Franku, kilka dni dłużej będziemy z sobą; już księżniczka Janina wspomniała ci o tem, i ja też proszę usilnie.

— Chciałbym, ale nie wiem czym powinien...

— Cóż znowu, przecież żadne nie grozi ci niebezpieczeństwo.

— Przeciwnie, wiesz dobrze jakie, teraz zwierzenie moje jest prawie zbytecznem, wszak odgadłeś moją tajemnicę? Kocham Janinę i boję się abym dla niej nie stał się rozrywką tylko lub igraszką, choć wiem że nie jest płochą i zalotną. Znam ją i badam od dawna, a jednak dotąd jeszcze nie dobrze rozumiem. Dzieckiem będąc, kilka miesięcy spędziła w naszym domu; zdawała się być wtedy bardzo delikatnego zdrowia, ojciec jej powierzył ją mojemu, gdyż zalecano jej zdrowe powietrze naszych równin. Bawiliśmy się razem i razem przebiegaliśmy nasze ogromne lasy. Wiesz że na naszych wyspach prawie nie zsiadamy z koni; Janina miała wtedy dwanaście a ja szesnaście lat, oboje doskonale jeździliśmy konno. Czuwałem nad nią troskliwie i kierowałem jej kroki wśród leśnych labiryntów które żadnych dla mnie nie mają tajemnic. Wiedziałem gdzie szukać najpiękniejszych kwiatów haosu i pandanusu, wiłem z nich wieńce które zawieszaliśmy na szyjach naszych rumaków, układałem dyademy które nosiła na głowie... tak jak dziś...

— Czy wie że ją kochasz?

— Nie wiem. Sześć miesięcy bawiła w naszym domu, sześć miesięcy byliśmy ciągle razem; byłem szczęśliwy sam nie wiedząc co jest szczęścia mego źródłem, potem ona odjechała do Honolulu, pozostałem osamotniony, szczęście moje uleciało z jej oddaleniem... Od owego czasu widuję ją dość często, zawsze jest dla mnie jednakowa, dobra, uprzejma, życzliwa, ale...

— Cóż za ale?

— Sam nie wiem jak odpowiedzieć. Nie raz spogląda i zatrzymuje na mnie swoje spojrzenie, ale gdy ja rumienię się i blednę, ona pozostaje spokojna, nie zmieszana...

— Franku, na twojem miejscu nie obawiałbym się mojej miłości!

— Jakto?

— Bo co się stało już się nie odstanie, ponieważ już kochasz ją całą siłą młodzieńczej miłości i dziś jeden jest tylko sposób abyś odzyskał utraconą wesołość i szczęście... pozyskaj jej wzajemność.

— I na cóżby się to zdało? Pewnie sama nie chciałaby pójść za mnie, a gdyby nawet chciała czyżby jej pozwolono.

— Czemuż nie? Jesteś bogaty, młody, piękny, no nie rumień się jak panienka, i ojca twego i ciebie wszyscy tu kochają i szanują... odmówiła już wszystkim krajowcom którzy mogli myśleć o pozyskaniu jej ręki, któż więc teraz mógłby współzawodniczyć z tobą?

— Ależ dotąd nie było wypadku aby księżniczki z tutejszej panującej rodziny szły za białych.

— Janina dałaby przykład, i dobrzeby było gdyby jej naśladowniczki równie szczęśliwie trafiały. Jedna tylko mogłaby zachodzić przeszkoda... Czy zamyślasz kiedy wracać do Europy?

— Ja? cóżbym tam robił? tu się urodziłem, tu jest moja ojczyzna, tu spoczywa ukochana matka moja, tu, daj Boże jak najpóźniej, spocznie w mogile moj ojciec. Patrz, tam wśród tych drzew na które teraz właśnie padają promienie księżyca, ojciec kazał zbudować grób w którym już pochowana jest matka moja, siostry i brat. Tu mam wszystko co kocham i kochałem, tu się urodziłem i tu chcę umierać, pod tem pięknem niebem, wśród tych dobrych ludzi co nas całem przygarnęli sercem.

— Dobrze pomyślane i dobrze powiedziane, kochany Franku. Masz słuszność że tu ojczyzna twoja, tu masz piękne do spełnienia zadanie i wiem że zaszczytnie wywiązujesz się z niego. Raz więc jeszcze powtarzam, nie zrażaj się, probuj pozyskać wzajemność.

— Mówisz mi głośno co nie raz cicho mówiłem sobie w duszy; dodałeś mi odwagi, sprobuję.

Ścisnąłem serdecznie dłoń jego i przeszliśmy do sędziwego gospodarza.

Wchodząc usłyszeliśmy wesoły śmiech. Janina siedziała na nizkiem krzesełku tuż przy fotelu starca, trzymając rękę jego w swoich dłoniach, i opowiadała mu jakąś wesołą anegdotkę która ich oboje pobudzała do śmiechu. W głębi pokoju siedziało na matach kilka kobiet z orszaku księżniczki i swobodnie rozmawiały z sobą.

— Porozumiałam się z ojcem twoim, Franku; wyjadę dopiero pojutrze. Ojciec twój ma kilka interesów do załatwienia w Kajlna, chce żebyś się niemi zajął. Przez jutrzejszy dzień przygotujesz się

do wyjazdu i wydasz potrzebne rozporządzenia na czas twej nieobecności, a zwracając się do mnie dodała: Wszak dla pana nic nie znaczy jeden dzień opóźnienia?

Chętnie przystałem na tę zwłokę; Frank nie odpowiedział ani słowa, ale zdawało mi się że Janina prędko spuściła oczy spotkawszy tkliwe, pełne wdzięczności spojrzenie, jakie wlepił w nią wzruszony młodzieniec.

Rozmawialiśmy o zamierzonej wycieczce. Gospodarz nasz przebywał za młodu tęż samą drogę z Kamehameha I-ym. Opowiadał nam dramatyczne ustępy z bitew staczanych w pobliżu wulkanu, zabobonny przestrach jakim przejmował kanaków i tradycye według których miejsce to jest siedliskiem bogini Pele. Janina słuchała tych dziejów przeszłości z niewymownem zajęciem i coraz nowe zadawała pytania; starzec jakby odmłodniał opowiadając dawne wspomnienia. Jego pochylona zwykle postać prostowała się, oczy ciskały błyskawice, budził się w nim dawny towarzysz bojów i przyjaciel zdobywcy. Janina z kolei wypowiedziała nam kilka pieśni krajowych opiewających miłość i bitwy, nieco dziwnym rytmem ale za to tchnących dzikim zapałem i jakimś rzewnym smutkiem. Wtedy właśnie zbierałem materyały do historyi wysp archipelagu, i wtym celu zapisywałem troskliwie wszelkie tradycye ustne, jako jedyne roczniki przeszłości; Janina znała wszystkie i obiecała mi spisać najważniejsze jakich jeszcze nie posiadałem.

Jeszcze późno w wieczór rozmawialiśmy o pochodzeniu ludności i wielkim prądzie emigracyjnym, który sprowadził na archipelag rasę malajską, gdy nagle zwracając się do mnie ze złośliwą minką, Janina zapytała:

— Czy wiesz pan przez kogo wyspy te zostały odkryte?

— Tak sądzę i wiadomość ta wiele mnie kosztowała zachodu. Niesłusznie zasługę tego odkrycia przypisywano najpierw Cook'owi a następnie Anson'owi, staranne badania i poszukiwania jakich dokonałem na wyspach Filipińskich, dowodzą że prawdziwym odkrywcą który pierwszy wylądował na tych wyspach, był żeglarz hiszpański Juan Gaetano, w roku 1555, i nazwał je *li Giardini*, to jest: ogrody.

— A ja nic temu nie wierzę, odrzekła; pierwszym przybyszem z Europy na archipelag nie był hiszpan, nie był mężczyzna, ale kobieta Angielka Kiana.

— To niepodobna! zawołałem.

— A jednak tak jest.

— Ale cóż tego dowodzi?

— Pieśni Kiany.

— I umiesz ją, księżniczko?

— Tak.

— O! proszę, powiedz nam pani tę pieśń! Jeźli się nie mylę Kiana jest to imię twoje, tylko z angielskiego przetłomaczone na język kanacki.

— Tak jest, ale pomimo chęci niepodobna mi zupełnie zadowolnić ciekawości pana, ponieważ ze wszystkich naszych pieśni, jedna tylko pieśń Kiany nie jest skończoną i dotąd nie ma końca.

— I pani także go nie znasz?

— Nie znam.

— Ani nikt na wyspie?

— Owszem, zna jeden tylko człowiek, dworzanin mój, Kimo.

— No więc zapytajmy Kima.

— Nie powie.

— Czemu?

— Tego nie wiem; zapytywałam go kilka razy, ale zawsze daje mi wymijającą odpowiedź.

— Powiedz nam pani dokąd umiesz, może domyślimy się końca.

Poruszyła przecząco głową ale czyniąc zadość mej prośbie, opowiedziała co następuje, a następnie wypadki opowieść tę utrwaliły w mej pamięci.

„Na kilka pokoleń przed urodzeniem Lono, jednego z najdawniejszych wodzów wyspy Hawaj, pewien kanak nazwiskiem Ili, zobaczył raz rankiem na wybrzeżu Kajlna wyrzucone tam przez fale szczątki rozbitego okrętu. Poszedł zaraz do wodza Vakea i powiedział mu co widział; wódz rozkazał obejść wybrzeża i zebrać wszelkie napotkane na nich szczątki; w załomie pewnej skały znaleziono jakąś, jak się zdawało nieżywą już, cudzoziemską kobietę. Miała cerę białą i jasno-blond włosy; leżała nieruchoma, ale było to tylko silne zemdlenie. Przeniesiono ją do najbliższej chaty, tam odzyskawszy przytomność, patrzyła z przerażeniem na otaczających. Mówiono do niej ale nie rozumiała; krajowcy podali jej mleko kokosowe, wypiła je, zamknęła oczy i znużona wkrótce zasnęła. Przez kilka dni była chora, myślano że umrze, jednak stopniowo odzyskiwała siły i nareszcie wyzdrowiała. Wódz powierzył ją opiece dwóch kobiet krajowych, które doglądały i posługiwały jej chętnie, gdyż była tak dobra i łagodna że ją prędko pokochały. Młoda nieznajoma często płakiwała, wymawiała po cichu jakieś niezrozumiałe wyrazy, klękała i składając ręce zdawała się wpatrywać gdzieś wysoko w jakiś niewidzialny przedmiot. Tygodnie upłynęły, Kiana, gdyż tak ją nazywano, nauczyła się kilku wyrazów po kanacku a w krótkim czasie umiała już tyle że mogła wymieniać najpotrzebniejsze przedmioty, a choć wymawiała z jakimś dziwnym akcentem, jednak można było zrozumieć. Z początku rzadko kiedy wychodziła z chaty; ujrzawszy ją, krajowcy nie mogli się jej dość napatrzeć; dotąd nigdy nie widzieli ludzi białej cery, to też jej twarz, szyja i ręce wprawiały ich w podziwienie. Zkąd ona się wzięła? pytali jeden drugiego; udano się po objaśnienie do kapłanów, ci oznajmili że musi być córką jakiegoś bóstwa, które zesłało ją na ziemię powierzając opiece plemienia.

Vakea przychodził ją odwiedzać; podziwiał jej piękność ale nie śmiał jej tego powiedzieć. Przysyłał jej najpiękniejsze owoce, najlepsze ryby, najwonniejsze kwiaty; kazał zbudować dla niej ładny domek nad brzegami morza, gdyż spostrzegł że rano i wieczór lubiła przechadzać się nad morzem i stojąc nad wybrzeżem długo, długo wpatrywała się gdzieś w daleką przestrzeń, a potem płakała. Domek był obszerny i szczelnie zbudowany; wódz kazał pozanosić do niego najpiękniejsze swoje maty i kapasy, to jest materye wyrabiane z kory drzew, z których Kiana szyła długie tuniki.

Suknie jakie po dziś dzień nosimy jeszcze, robione są krojem jaki tu wprowadziła Kiana.

Gdy Vakea przychodził, Kiana rozmawiała z nim albowiem prędko nauczyła się naszego języka i władała nim biegle. Pewnego dnia, miano z rozkazu wodza, rzucić rekinom jakiegoś kanaka, jako karę za kradzież; Kiana prosiła Vakei aby mu darował winę i został ułaskawiony. Dnia tego pierwszy raz ujrzano uśmiech na jej ustach.

Ale Vakea już się teraz nie uśmiechał, był smutny, zamyślony, nie chodził na polowanie, nie zabawiał się połowem ryb, nie znajdował żadnej przyjemności w zabawach, utarczkach i festynach. Niedawno jeszcze tak dumny i śmiały, teraz całe godziny przypatrywał się z oddali Kianie chodzącej po morskiem wybrzeżu, a gdy zbliżał się do niej był nieśmiały jak dziecię i zaledwie odważył się przemówić. Każde przelotne życzenie Kiany, stawało się dla niego nieodwołalnym rozkazem. Zakazał ofiar z ludzi, bo choć odbywały się daleko od jej domku, dowiedziawszy się o nich Kiana płakała. Niekiedy rozmawiała z nim o niepojętych rzeczach, jak naprzykład o Bogu którego śmy nie znali a który znajdował się w niebie; wysoko, wysoko po nad nami i który nakazywał wszystkim ludziom, dzieciom swoim; aby się miłowali wzajemnie. W dniu w którym po raz pierwszy objawiła mu ten rozkaz swego Boga, Vakea uśmiechnął się i zdawało się że jest szczęśliwy.

Czas upływał; Kiana nie tak długo wpatrywała się w morze, Vakea przychodził coraz częściej i dłużej bawił u niej. Nic teraz nie czynił i nie przedsiębrał bez zasięgnięcia jej rady, a gdy razem przechadzali się nad wybrzeżem, kanakowie mówili sobie po cichu: Vakea kocha Kianę, i uśmiechali się i cieszyli, bo znajdowali ją bardzo piękną i widzieli, że dzięki jej, wódz ich staje się coraz lepszym.

Kapłani tylko obawiali się Kiany, bo Vakea przestał udawać się do nich i odmawiał im ludzi których chcieli poświęcać na ofiarę swoim bogom. Unikał ich wyraźnie, a jeźli który zdołał zbliżyć się do niego, mówił mu o nowym Bogu o którym dowiedział się od Kiany. Vakea miewał teraz chwile radości i głębokiego smutku, ale będąc przy niej zapominał o wszystkim i był szczęśliwy.

Nareszcie Kiana pokochała go i zgodziła się na to aby zostać jego żoną. Przysiągł jej w obec ludu, w imię nieznanego Boga że nigdy nie pojmie innej żony, i Kiana podała mu rękę. Uklękła, wzniosła oczy w górę i po raz ostatni zapłakała patrząc na morze... potem westchnęła i słodki uśmiech zaigrał na jej ustach.

Upłynęło dwa lata; Vakea i wszyscy w koło niego byli szczęśliwi. Kobiety nie obawiały się aby im wydzierano dzieci na ofiarę dla Kipi, bożka wojny, od chwili jak Kiana piastowała na ręku i karmiła małą córeczkę. której dała imię Marya, po kanacku Malia. Dziewczynka ta nie była tak biała jak matka, miała włosy czarne jak ojciec a wśród nich jeden promień jasno-blond jak warkocze matki...

— Kiana jest protoplastą naszej dynastyi i od owego czasu u wszystkich kobiet naszego rodu przechował się ten znak naszego pochodzenia, rzekła Janina przerywając opowiadanie.

Malia miała lat cztery, mówiła dalej, gdy Kiana zapadła na jakąś tajemniczą, nieznaną u nas chorobę. Schudła i stała się jeszcze bielszą. Wszystko ją męczyło, zaledwie mogła utrzymać się na nogach, długie godziny leżała nieruchomie na swojej macie. Vakea nie odstępował jej: łagodny głos Kiany wydawał mu się najrozkoszniejszą muzyką. Mówiła mu o swoim Bogu; zalecała aby był dobrym dla swego ludu, pobłażliwym dla winowajców, litościwym dla słabych. Ja umrę, mówiła, ale pójdę tam gdzie spotkamy się kiedyś i znów już na wieki będziem przestawać z sobą. Vakea płakał słuchając tego.

Kiana umarła. Mówiono między ludem że kapłani zadali jej zjadliwą truciznę. Straszną była boleść Vakei; nie można było oderwać go od zwłok ukochanej żony. Rozkazał spalić domek w którym mieszkała zanim został jej mężem, i w temże miejscu zrobić grób w którym złożono martwe ciało Kiany; wszyscy wodzowie musieli przysiądz że gdy Vakea umrze, pochowają go obok żony. W rok potem spoczął obok Kiany.“

— Serdecznie dziękuję, rzekłem do Janiny w której oczach łzy błyszczały, alež zdaje mi się że tu brak końca.

— Owszem. Na kilka chwil przed śmiercią Kiana miała widzenie. Nie było przy niej nikogo prócz Vakei i Kamy, najstarszej z kobiet które jej doglą-

dały po znalezieniu na wyspie. Wypowiedziała wyraźnie kilka frazesów które zadziwiły ich niewymownie, i Vakea przykazał Kamie aby ich nie powtarzała nikomu.

— Więc skądże Kimo mógłby to wiedzieć?

— Kimo jest jedynym potomkiem Kamy; utrzymują powszechnie że mimo zakazu Vakei, przepowiednia Kiany została przekazywana w rodzinie. W każdym razie tajemnica pochwycona przy łożu śmierci Kiany zostaje wiernie dochowywaną; nie ma kanaka któryby nie był przekonany że Kimo ją posiada, on sam tego nie zaprzecza ale nie wyjawi jej nigdy.

— A cóż się stało z Malią?

Zostawszy sierotą miała pięć lat skończonych; wychowaniem jej zajmowali się najznakomitsi krajowcy i kochali ją szczerze, jak niegdyś Kianę. Była takiem dzieckiem gdy Kiana umarła, że nic nie pamiętała matki; niektórzy z wodzów żyjący w bliższych stosunkach z Vakeą, przechowywali czas jakiś pamięć o Bogu objawionym im przez Kianę, ale powoli wrażenia te zupełnie się zatarły, i później gdy przybyli misyonarze napotkali tylko u ludu jakieś niewyraźne wspomnienia, których wytłomaczyć sobie nie umieli. Dorosłszy, Malia zaślubiła wodza Kona i tym sposobem południowa część wyspy przeszła pod jego władzę. Starszy syn, który po nich odziedziczył władzę, jest dziadem Kamehamehi I-go.

Pragnąłem jak najprędzej pomówić z Kimem, ale było już późno i musiałem czekać do jutra. Rozeszliśmy się; przed udaniem się na spoczynek zapisałem w notatkach pieśń o Kianie, całą noc marzyłem o niej i pragnąłem koniecznie ale, niestety! daremnie, odgadnąć jej przepowiednię.

II.

Obudziłem się dość późno i mocno rozmarzony; oprzytomniałem jednak prędko usłyszawszy tentent kopyt końskich, śpiew ptaków i pieśni kanaków zajętych różnemi gospodarskiemi zajęciami. Miałem towarzyszyć Frankowi w wycieczce do poblizkiego lasu, gdzie chciał przed wyjazdem wydać rozporządzenie robotnikom, zajętym sadzeniem drzew sandałowych. Pojechaliśmy z małą eskortą. Świeże orzeźwiające powietrze poranne, prędka jazda na dzielnych wierzchowcach, urocze krajobrazy roztaczające się przed oczami, rozproszyły senne marzenia, a postać Kiany przyłączyła się do tych przelotnych wrażeń drzemiących w naszej pamięci, które jednem słowem można zbudzić do życia.

Nie wiem o czem marzył, o czem roił mój towarzysz, ale jakże wielka zaszła w nim zmiana! Nie był to już ów wczoraj tak nieśmiały i milczący młodzieniec; jego spojrzenia nie były przyćmione, na czole jaśniała pogoda. Kierował śmiało pysznym, ognistym rumakiem, którego zręczne podskoki uwydatniały siłę dłoni jeźdźca i piękną wysmukłą jego postać.

— Co to za piękny wierzchowiec! rzekłem do Franka.

— Piękny i doskonale ujeżdżony. Nie jeździłem na nim od kilku dni a że zamierzam ofiarować go Janinie, chciałem przekonać się czy nie za ognisty.

— Ale kilkodniowa wycieczka może go znużyć.

— Sułtan nie męczy się taką przejażdżką. Może pędzić dzień cały i ani się zapoci ani nie zwolni kroku, odpowiedział głaszcząc piękną szyję rumaka, który pochylał głowę aby dotknąć ręki jeźdźca.

— Czy widziałeś dziś Janinę?

— Nie, kazała mi powiedzieć że ponieważ odjeżdża jutro, dziś cały dzień przepędzi w fermie z mojim ojcem. Czy spostrzegłeś wczoraj jak się ożywił w jej towarzystwie, i jak ona, zwykle tak dumna i samowolna, jest dla niego dobrą i uległą?

— Rzeczywiście, zdaje się że on kocha ją jak córkę, a ona szanuje go jak ojca.

— Masz słuszność, odrzekł rumieniąc się, i ja nie raz już to uważałem; ale wczoraj, gdym wszedł do ojca po rozmowie z tobą i zobaczyłem ich razem, żywszego jeszcze niż zawsze doznałem wrażenia... Ale, niestety! nie usuwa to trudności i przeszkód których jest tak wiele.

— Jakież to one są?

— Najpierw trzebaby pozyskać jej wzajemność i zezwolenie oto dwie najpierwsze, a znając charakter Janiny, przyznasz że druga trudność jest nie mała; nadto trzebaby jeszcze otrzymać pozwolenie ojca jej i króla. Co do ojca Janiny, ten od dawnych lat jest przyjacielem mego, dzielili z sobą trudy i niebezpieczeństwa wojny, więc na niego mógłbym może liczyć, ale król zna mnie bardzo mało.

— Tak, ale znasz dobrze królowę, która była przyjaciółką twojej siostry, a wiesz przecie jaką Emma ma przewagę nad umysłem króla, który kocha ją szalenie. Królowa zna cię dobrze i bardzo poważa i nie raz słyszałem ją mówiącą bardzo pochlebnie o tobie i twoim ojcu. Stawia cię za wzór najlepszego syna i uważa prawie za bohatera, w skutku jakiejś przygody w której ocaliłeś ją z wielkiego niebezpieczeństwa.

— Nie uczyniłem wówczas nic więcej nad to co każdy zrobiłby na mojem miejscu. Lat temu kilka, gdy jeszcze żyła siostra moja z którą się bardzo kochały, królowa pomimo rad moich, chciała koniecznie udać się na polowanie kanaków na dzikie bawoły. Nie mogąc im towarzyszyć, prosiłem aby nie zbliżały się do myśliwców lecz zatrzymywały się na wzgórzu, panującem nad równiną i zdaleka przyglądały się niebezpiecznym tym gonitwom. Przyrzekły że zastosują się do mojej prośby, jednak mimo to byłem dziwnie niespokojny i dla tego ułatwiwszy się co prędzej z zajęciem jakie mnie zatrzymywało w fermie, wyjechałem zaraz po południu i bocznemi drogami dostałem się prędko na oznaczone miejsce. Zastosowały się do mojej rady i pozostały na wzgórzu ale nie zsiadły z koni, a te podbudzone krzykami *vakerossów* i widokiem innych wierzchowców galopujących po równinie otaczającej wzgórze, poniosły nieostrożne amazonki które powstrzymać ich nie mogły. Może jeszcze nie tak wielkie zagrażałoby im niebezpieczeństwo, gdyby się były spuściły na instynkt swoich wierzchowców wytresowanych do ścigania bawołów, ale chciały niemi pokierować, i tak źle się do tego wzięły iż zniknęły w tumanach kurzu wpośród rozpierzchłej gromady bawołów. Gdyby koń potknął się lub zrzucił amazonkę, ratunek byłby niemożliwy. Zdołałem je dogonić. Świst mego lasso przestraszył bawoły, rozbiegły się na prawo i na lewo, puściłem się galopem i pochwyciłem za uzdę wierzchowca Emmy, właśnie w chwili, gdy naciskany gromadą bawołów zaledwie mógł ustać na nogach, a ona już zaczynała tracić przytomność. Siostra moja, przytomniejsza i odważniejsza, skorzystała z chwilowego popłochu bawołów, puściła konia galopem i złączyła się z moimi kanakami, którzy zrozumiawszy niebezpieczeństwo śmiało podążyli za mną. Emma nie zapomina o tem i na zawsze pozostała mi wdzięczną; nie widziałem jej od czasu zamążpójścia, ale sądzę, iż masz słuszność, że przy zdarzonej okoliczności, nie odmówiłaby mi swej pomocy.

— Sposobność ta nastręcza się teraz właśnie: przez ożenienie się z Janiną, zostałbyś członkiem jej rodziny i częściej widywałaby brata ukochanej przyjaciółki, której dotąd odżałować nie może. Janina kocha, szanuje i chętnie słucha rad królowej, tak więc zarówno u niej jak u króla, Emma może być ci pomocną. Ja także posiadam zaufanie króla...

— Serdeczne dzięki za przyjaźń twoją i dodanie mi odwagi, pójdę za twoją radą, ale jakże trudno mi będzie pozyskać serce Janiny!

— A! biada z zakochanymi! zawsze same przeszkody upatrują. Czyż ty, Franku nie powinienbyś lepiej się cenić?

— Ach! cóż ja jestem w porównaniu z Janiną! ale stało się, nie cofnę się przed największemi trudnościami, kocham ją tak bezgranicznie że może nareszcie miłość moja wywoła jej uczucie.

(*d. c. n.*)

Korespondencya ze Lwowa.

Chcąc dać czytelnikom ogólny pogląd na wystawę krajową, której dnie w chwili, gdy to piszemy, są już literalnie policzone, zaczynamy od streszczenia sądów, jakie o wystawie galicyjskiej wydali sędziowie nasi i obcy. Wystawa powiodła się zupełnie, prześcignęła nawet śmiałe oczekiwania komitetu i pod każdym względem stanowić będzie ważną epokę w naszem życiu ekonomicznem. Powiedzieliśmy, że taki sąd pochlebny wydali o lwowskiej wystawie nawet obcy sędziowie. Nie jestto żadna przesada, na co dowód stanowi artykuł profesora Exnera drukowany w jednem z najpoważniejszych pism wiedeńskich. Prof. Exner jest dyrektorem wiedeńskiego muzeum przemysłowego. uchodzi nawet za granicą Austryi za wielką znakomitość w swoim zawodzie, więc sąd takiego cudzoziemca posiada wielkie znaczenie. Prof. Exner przybył do Lwowa z dwoma ministrami i po zwiedzeniu wystawy oddał jej wielkie pochwały powiadając wyraźnie, że od wystawy obecnej zacznie się w Galicyi nowy wiele obiecujący okres rozwoju ekonomicznego. Prof. Exner przyznał się, że nie mógł wszystkiego dokładnie zbadać, gdyż katalog pisany jest w niezrozumiałym dla niego polskim języku, więc z tego przyznania się do pobieżnego poglądu wolno wysnuć dalszy wniosek, że pochwała wypadłaby jeszcze lepiej, gdyby komitet zdołał był usunąć powyższą trudność.

Co nawet prof. Exnera na pierwszym zaraz wstępie zdziwiło, a co tem więcej dziwić i gorszyć musi każdego Lwowianina, to owa bierna opozycya Krakowa i w ogóle zachodniej części kraju, o czem pisałem już w czasie przygotowań do wystawy krajowej. Prof. Exner, Wiedeńczyk, obcy krajowi i obojętny dla jego losów, nie mógł się powstrzymać od cierpkiej uwagi, że wskutek usunięcia się Galicyi zachodniej wystawa nie daje kompletnego wyrazu krajowej produkcyi! Cóż dopiero ma mówić o tem prasa krajowa, która i bez wystawy widzi codziennie przykre objawy partykularnej zawiści między Lwowem a Krakowem, między wschodnią a zachodnią częścią kraju. Dopóki ta zawiść partykularna ograniczała się do podrzędnych kwestyi, lokalnego więcej znaczenia, dopóki Kraków spierał się ze Lwowem, kto ma większe pretensye do roli Paryża galicyjskiego a zachodnia Galicya z wschodnią o wyższość cywilizacyjną jednej nad drugą, dotąd wszystko to można było zbywać milczeniem lub w najgorszym razie złośliwym żartem. Ale jeżeli jedna część kraju posuwa swoją zawiść

partykularną tak daleko, że dąsa się i chowa w chwili, gdy kraj ma się popisać przed obcymi, gdy nietylko interesa materyalne są zaczepione lecz także honor kraju, to żarty nie są już na miejscu, to każdy musi się oburzać. Niestosowność swojego postępowania a nawet nieroztropność w obec własnych interesów uznali, niektórzy krakowscy przemysłowcy w chwili, gdy się pokazało, że mimo dąsów krakowskich wystawa znakomicie się rozwinęła. Jeden i drugi przemysłowiec krakowski chcąc bodaj w części błąd naprawić wcisnął się chyłkiem milczkiem ze swojemi wyrobami na plac wystawy i bardzo zadowolony, jeżeli mu komitet przynajmniej na szarym końcu wyznaczył przestrzeń kilkumetrową.

Ale kończymy na tem sprawę usunięcia się zachodniej Galicyi, bo jestto w każdym razie ujemna strona wystawy a po tem, cośmy o niej na samym wstępie powiedzieli, wypadało zacząć od stron dodatnich. których jest tyle, że w szczupłych ramach korespondencyi niepodobna wyczerpnąć przedmiotu.

Główny, środek planu wystawowego zajmujący pawilon był najciekawszy i najwięcej pouczający, gdyż zawierał wyroby naszego młodziutkiego przemysłu. Kiedy powstał projekt wystawy, nikt pewnie nie myślał, że dział przemysłu zajmie tak pokaźne stanowisko. Nawet ludzie kraj dobrze znający i życzliwi mu obawiali się, czy mamy co godnego wystawy, czy wystawa zamiast zrehabilitować nas w oczach obcych gości nie poniży nas jeszcze więcej. Pokazało się że sami nie wiedzieliśmy dotąd dobrze, co posiadamy, że trzeba nam było dopiero zobaczyć na własne oczy wszystko, co posiadamy, ażeby nabrać otuchy i przekonania, że biedna Galicya jest krajem rozwijającym się a niezacofanym i gnuśnym zakątkiem miasta. Jakiekolwiek skutki przyniesie wystawa lwowska, zawsze ta otucha i przekonanie pierwsze zajmie miejsce, bo największe korzyści materyalne nie znaczą tyle, co wiara w własne siły i zdolności. A pawilon główny dowodzi, że nie braknie nam ani potrzebnego materyału, ani sił ani zdolności do wytworzenia samodzielnych gałęzi przemysłu. Jest tam wprawdzie wiele takich rzeczy, które dowodzą tylko amatorstwa i wysokiej wprawy jednostek i nie świadczą bynajmniej, żeby to był zarodek nowego źródła produkcyi przemysłowej. Jeżeli np. jeden wystawca Jasielski przedstawił nam fortepian własnego wyrobu a drugi znowu organy, to co choć obaj wywiązali się ze swojego zadania dobrze, choć znawcy oddają pochwałę fortepianowi i organom, główny cel wystawy, właściwe jej zadanie nie wiele na tem zyskało.

Ani bowiem ten ładny zresztą ale z zagranicznych części składowych utworzony fortepian, ani kształtne organy, nad którymi ich twórca w ten sam sposób pracował jak wystawca fortepianu, nie reprezentują nowej obudzającej się gałęzi przemysłu krajowego. Obaj wystawcy pracowali nad wystawionemi przedmiotami długi czas a gdyby kto zamówił u nich po tuzinie takich samych wyrobów, nie mogliby przyjąć zamówienia w braku kapitału, materyału i całego aparatu do fabrykacyi. Być może, że jestto początek obiecujący, daj Boże, żeby jeden i drugi wystawca zachęcony pochwałami, posłuchał na prawdę o większem przedsiębierstwie i zdołał stworzyć fabrykę fortepianów i organów. Byłby to wielki sukces ale na razie nie można o tem marzyć.

Z tego powodu więcej cieszyć nas powinny ustawione w jednem skrzydle pawilonu przemysłowego wyroby koszykarskie, ślusarskie, garncarskie i inne z kategoryi przemysłu domowego. Ta część wystawy ma największe znaczenie, bo reprezentuje nietylko nowe źródło zarobkowania naszej ludności wiejskiej, lecz co ważniejsza niedawno dopiero pod opiekę publiczną oddany a już tak pięknie rozwinięty oryginalny przemysł krajowy. Przed trzema laty zarówno uwagę na ten przemysł a dziś dzięki subwencyom rządowym i sejmowym, przedewszystkiem zaś dzięki zacnemu mecenasowi spraw krajowych hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, kraj posiada już kilka szkół fachowo-przemysłowych których uczniowie, chłopcy i dziewczęta wiejskie, popisują się dziś na wystawie wyrobami i otrzymują bezwzględne uznanie od dyrektora wiedeńskiego muzeum przemysłowego p. Exnera! Trzeba widzieć te koszyki i plecionki różnych kształtów, te niepokaźne na pierwszy rzut oka ale cenne wyroby ślusarskie, te często niezgrabne ale w większej części oryginalne wyroby garncarskie naszych wieśniaków, ażeby ocenić dobroczynny wpływ nowo założonych szkółek przemysłowych. Wrodzony spryt naszego ludu, jego naiwne ale często bardzo trafne wyobrażenia o pięknych kształtach i estetycznym układzie, wreszcie jego oryginalne pomysły rozwijają się w tych szkółkach tak wysoko, że twórcy dzisiejszego ruchu na polu przemysłu domowego, niezadługo oglądać będą zdumiewające owoce cichych ale nieocenionych zasług swoich. Nie wyliczam wystawionych przedmiotów tej kategoryi, bo nie opisuję wystawy lecz tylko ograniczam się do ogólnych uwag. Zadanie to należy do sprawozdawców pism codziennych a każdy czytelnik Tygodnika zapewne już z tego źródła poinformował się o szczegółach wystawy. Uwagi o przemyśle domowym kończę na tem, że wystawa lwowska niezawodnie utoruje wyrobom naszego ludu drogę do targów zagranicznych. Już przed wystawą zagranica poznawszy galicyjskie wyroby koszykarskie, otworzyła im przystęp na swój targ a w Wiedniu znalazł się kapitalista, którego pośrednictwo handlowe znacznie już rozszerzyło granice odbytu.

Obok wyrobów przemysłu domowego praca kobiet zajęła znaczną przestrzeń głównego pawilonu. Oba te działy wystawy są sobie pokrewne i dla tego sąsiedztwo ich jest zupełnie uzasadnione. W dziale pracy kobiet mieści się nietylko wystawa stowarzyszenia pod tą nazwą od wielu lat we Lwowie istniejącego, lecz także wyroby wielu zakładów i magazynów tutejszych, oraz wyroby naszych włościanek. Jestto niezawodnie jeden z działów wystawy, o którym powiedzieć można, że nie mógł lepiej wypaść. Stowarzyszenie pracy kobiet złożyło tu stanowczy dowód wielkiej żywotności i użyteczności swojej a nasze magazyny mogły przekonać nawybredniejszą elegantkę, że Lwów może zaspokoić wszystkie jej wymagania. Dobrym przykładem przyświecają w tym dziale okazy wystawione przez panią Namiestnikową, księżnę Sapieżynę, i przez wiele innych dam najwyższej klasy społeczeństwa. Obok tych okazów przyjemne wrażenie sprawia sąsiedztwo prostych ale w swoim rodzaju wiele zajmujących wyrobów naszych włościanek. Wystawione przez dwie panie (Tołoczkowę i Zielińską) kwiaty sztuczne, uznane zostały jednomyślnie za zdolne do rywalizacyi z paryzkiemi wyrobami tego rodzaju. Obie te panie przeniosły istotnie paryzką metodę na grunt lwowski. *(d. n).*

Przegląd literacki.

Kwestya domu zarobkowego w Warszawie tudzież zaradzenia ubóstwu w kraju, przez Justyna Wojewódzkiego.

Nie ma podobno jednego serca ludzkiego, któreby widok prawdziwie ubogiego nie poruszył. Ubóstwo obudza współczucie, nędza zgrozę że do niej jednostka bratnia doprowadzoną została. Warszawa jest miastem dobroczynnem, kraj współzawodniczy z nią w niesieniu pomocy nieszczęśliwym i nie ma zapewne nikogo, nie wyłączając nawet mało zamożnych, którýby nie ratował ubóstwa już to dobrowolną ofiarą, już niejako wymuszoną przez kwesty, loterye, zabawy, widowiska i różnego rodzaju pomysły na ciekawość ludzką obliczone. Mimo tego ubóstwo mnoży się w przerażający sposób, dość na chwilkę przystanąć na ulicy, aby się spotkać z ręką wyciągniętą po datek, a w przechodzie przez miasto, przy cukierniach, handlach, sklepach, kościołach, cmentarzach i w miejscach więcej ludniejszych, żebractwo roi się jak mrówki wciskając nawet do mieszkań.

W tej gromadzie żebraków znajdują się i prawdziwie biedni ale próżniaków, oszustów i nicponiów daleko więcej. Jest to widome ubóstwo Warszawy, niewidome kryje się w zaułkach i poddaszach miejskich, stokroć okropniejsze, bo nie umiejące żebrać a szukające jedynie pracy, której nieraz długo wynaleźć nie może.

Jakaż zatem może być przyczyna, że pomimo niezaprzeczenie wielkiej dobroczynności całego kraju. ubóstwo nie zmniejsza się ale wzrasta w przerażający sposób.

Jedyna na to odpowiedź, że działamy na skutki złego a nic na jego przyczynę, że podobni jesteśmy do człowieka zajętego ciągle gojeniem ran zadawanych cierniem a nie myślącego o wyjęciu go z drogi którą przechodzi.

Tym cierniem w naszym organicznym porządku, przedewszystkiem jest brak powszechnej oświaty, nie uniwersyteckiej, nie szkolnej nawet, ale elementarnej, jaką szkółki dobrze urządzone i ciągle rozwijane kraj cały obdarzają. Z braku jej, uczucie własnej godności nie rozkwita, zacność pracy staje się niezrozumiałą, hart ducha nie wzmacnia się, najmniejsza przeciwność wiedzie do próżniactwa a z niego powstają oszuści i nicponie a nawet i prawdziwie biedni, godni opieki publicznego miłosierdzia.

Otóż brak elementarnej dobrej oświaty, jest głównym powodem tej rany społecznej, która w postaci ubóstwa i nędzy trawi cały organizm. Powstają one jednak i z chwilowej braku pracy, który wyczerpując dawniejsze zasoby, przywodzi i najlepszych do ostatecznej ruiny. Takich to niewygasłej nigdy pamięci Stanisław Staszic, testamentem w r. 1826 sporządzonym i przez Rząd zatwierdzonym, zapisując ówczasowych złp. 200,000 na założenie domu zarobkowego w Warszawie, miał głównie na celu. Od śmierci jednak jego już upływa lat prawie 52, a myśl ta zacnego testatora nie weszła w wykonanie. Teraz dopiero od kilku lat wydobyto ją z zapomnienia, prasa peryodyczna zajęła się nią z zapałem, uwaga publiczna ocknęła się i rzucono różne pomysły jak dar zacnego myśliciela powiększony składanym procentem do ogólnej sumy rs. 202,194 kop. 37½ z której z końcem bieżącego roku rs. 150,000 może być rozporządzalnem, użyć najwłaściwiej, nie odstępując jednak od głównej myśli testatora, czego nawet i prawo nie dozwala.

Pomiędzy wielu zajmującymi się gorliwie tak ważwą sprawą, był i p. Justyn Wojewódzki, który wydał jeszcze w r. 1875 odpowiednią rozprawę p. t. „Myśl Stanisława Staszica." Obecnie streściwszy ją i nowemi szczegółami rozszerzywszy, ogłosił p. t. „Kwestya domu zarobkowego w Warszawie, tudzież zaradzenia ubóstwu w kraju." Przedmiot niemiernie ważny i ciekawy, do wyjaśnienia go, Szanowny Autor zabrał się z niezmierną miłością,

śledził go bacznie, badał w różnych kierunkach i z niemałą pracą nagromadził dane zbierane skrzętnie tak w kraju jak za granicą.

Przedstawiwszy wyjątek z testamentu Staszica, historyą losów zapisu, wnioski b. Rady Głównej Opiekuńczej. potrzeby społeczne, wzgląd na przeszłość i teraźniejszość, znaczenie domów zarobkowych i stojąc przy pierwotnej myśli testatora, rozwija następnie projekt urządzenia domu zarobkowego i zaradzenia żebractwu próżniactwu i ubóstwu.

Według projektu tego, do domu zarobkowego mają być przyjmowani szukający zarobku najdłużej na dwa tygodnie z płacą dzienną nieprzenoszącą $^6/_7$ lub $^7/_8$ zwyczajnego zarobku na mieście. Dla niezniechęcania zaś ubogich pracowników, radzi Autor orzec wyraźnie, że po zaspokojeniu wydatku na żywność, cała reszta zarobku ma być wypłaconą im przy opuszczeniu domu zarobkowego.

Pracownicy zatem ubodzy mają być i żywieni, czy to będzie praktycznem? Wreszcie mamy kuchnie tanie, czyż nie lepiej unikając kosztownych kłopotów administracyjnych, posługiwać się niemi jako także utrzymujących się nie w widokach spekulacyjnych.

Wynalezienie dalszej pracy czasowej lub stałego umieszczenia dla ubogich pracowników, ułatwianem ma być, według projektu Autora, za pośrednictwem bióra informacyjnego przy domu zarobkowym znajdować się mającego. Myśl to dobra i byle bióro należycie było prowadzone a ważność jego przez ogół odpowiednio pojęta, zapewni z pewnością zobopólną korzyść dla osób interesowanych.

Najgorsza umowa z samą pracą, czyli z możnością zajęcia zgłaszającego się w ten sposób, aby zaraz mógł na siebie zarobkować. Według projektu b. Rady Głównej Opiekuńczej i Autora, mają do tego posługiwać roboty rolnicze i ogrodnicze, oraz rąbanie, tarcie i rozwózka drzewa, powroźnictwo, wyroby słomiane, koszykarstwo, krajczarstwo, przerabianie wełny, włosów, darcie pierza, szarpi: dla kobiet szycie zwyczajne i na maszynie, robienie pończoch, siatek, worków na zboże, bielizny szpitalnej i roboty inne kobiece a to zapatrując się na Zakład Ś. Marty: dla rzemieślników, szewctwo, krawiectwo i t. d. do czego Autor dołącza jeszcze, robienie derek na konie i bryczki, wyrabianie puchu edredonowego z pierza ptactwa domowego, a nadto introligatorstwo, przepisywanie i t. p.

Przedewszystkiem nie pojmujemy, robót rolniczych i ogrodowych w przyszłym domu zarobkowym, do tego bowiem koniecznie potrzeba roli i ogrodu które pracą doraźnie prowadzoną przez ciągle zmieniających się przybyszów, nie dadzą się należycie zużytkować. Nadto wszystkie wymienione powyżej rodzaje pracy, jakkolwiek łatwe, potrzebują odpowiedniej umiejętności i wprawy, czyżby dom zarobkowy miał być zarazem i szkołą uczenia chlebodajnej pracy? Cóż się także stanie z biedakiem umiejącym jeden z rodzajów pracy nie mający w domu zarobkowym warsztatu? Czyż ma się uczyć innej przez zakład przyjętej a tę której się poświęcił chwilowo porzucić? Co do zbytu wyrobów domu zarobkowego, Autor głównie opiera się na przymusowem niejako zobowiązaniu wszystkich zakładów dobroczynnych, oraz straży ogniowej i więzień do zakupywania tego czego potrzebują z warsztatów nowo mającej powstać instytucyi. Zbyt tym sposobem rzeczywiście byłby w znacznej części zapewniony, ale byłby to niejako rodzaj monopolu, który nigdy do niczego dobrego nie prowadzi. Gdyby bowiem wyroby domu zarobkowego nie miały wymaganej wartości, lub były droższe od dotąd przez instytucye nabywanych, czyż godzi się zmuszać je do ofiary wbrew ich własnemu interesowi? Rozkaz wprawdzie może to spełnić, ale straty poniesione wprędce zmusiłyby do jego zmiany, a wówczas co zrobi dom zarobkowy pozbawiony tak ważnego miejsca zbytu dla swoich towarów?

Jedyny środek na zachęcenie kupujących jest przyspasabianie wyrobów w wartości i cenie wyrównywających fabrykatom prywatnym, ale tego niełatwo dokonać. Każda fabryka lub warsztat nowo powstający, choćby z odpowiednim zapasem znajomości i kapitału, musi być bardzo bacznie i starannie prowadzony, aby mógł z innemi korzystnie współzawodniczyć. Trzeba tu nie raz, jak się zwykle mówi, niedojeść, niedospać niewypocząć, jeść kaszę szydłem a spać na jedno oko stojąc na jednej nodze. W instytucyi publicznej jakim będzie dom zarobkowy, choćby zostający pod opieką najzacniejszych osób, czyż można się spodziewać podobnego wyprężenia sił, starań i zabiegu? Jesteśmy ludźmi, poświęcenia bezwarunkowego nie wymagajmy, a choćby i znaleźli się tacy, to liczba ich nie tak zbyt wielka aby potrzebie opieki odpowiadała.

Tak więc zbyt towaru nawet wrazie jego rzeczywistej dobroci, nie będzie łatwy, cóż dopiero powiedzieć gdy będzie lichszy od podobnego w sklepach prywatnych przedawanego. A przypuszczenie to bardzo prawdopodobne, nawet niemal pewne, bo pamiętajmy, że dom zarobkowy ma współzawodniczyć z całym niemal rękodzielnictwem krajowem i dorównać mu we wszystkiem.

Zadanie to ogromne prawie niepodobne do wykonania, a jednak jedynie na spełnianiu jego cała przyszłość domu zarobkowego spoczywa.

Oto są uwagi jakie nam nasunęły się do myśli przy rozważaniu projektu p. Justyna Wojewódzkiego. Na pozór zdaje się być łatwym do wykonania, ale przy gruntowniejszem rozważaniu staje się prawie niepodobnym. Być więc może, że dla tego właśnie, myśl Staszica dotąd w życie wprowadzoną nie została; uorganizować instytucyą coby dawała zarobkową pracę każdemu szukającemu jej, to zadanie nad którem myśliciele całego świata pracują bezskutecznie. Zdaniem więc naszem, należałoby, albo w domu zarobkowym urządzić kilka tylko rodzajów pracy i do nich jedynie przyjmować biednych robotników; albo też przy każdym większym warsztacie lub fabryce zapewnić pracę dla żądających jej, których wyroby sprzedawałyby się na korzyść domu zarobkowego z odstąpieniem znacznego procentu dla chlebodawców niejako. Nie zapewni to wprawdzie zbytu towaru, ale zadosyć uczyni woli testatora, wyrób da dobry i nadto uwolni wykonawców od uciążliwego i kosztownego prowadzenia warsztatów i niepewności ich dobrego funkcyonowania.

Nie ma wątpliwości, że przy rozwinięciu tego projektu, mnóstwo okaże się zawad, większe jednak, radykalne, stanowczo usunięte zostaną. Mamy tu głównie na myśli, dobroć wyrobu i kosztowność prowadzenia zarządu domu zarobkowego z licznemi warsztatami, który niepodobna przypuszczać, aby przez ochotników miłosiernych był jedynie obsługiwany. W kwestyi zaradzenia żebractwu, próżniactwu i ubóstwu, pomówimy w następnym numerze.

J. K. Gregorowicz.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Klaudyi G. w Stolnie. Radość odmiany tak korzystnej chłopczyny, podzielamy szczerze. Cierpliwość jest tu konieczną, niezawsze bowiem niechęć do nauki w dzieciach z lenistwa pochodzi, ale często jest wypływem nieusposobienia odpowiedniego, które dopiero z czasem pomyślnie daje się rozwinąć. Pośrednictwa do pani Heleny Dąbrowskiej w wynalezieniu odpowiedniego Nauczyciela, chętnie się podejmiemy. Za spóźnienie odpowiedzi przepraszamy, którą jedynie spowodowała nieobecność Redaktora w Warszawie.

Pani Bronisławie K. w Murowance. Za doniesienie o tak korzystnym wpływie Przyjaciela Dzieci na całą tak rojną gromadkę dziatwy serdeczne przysyłamy podziękowanie. Radość to dla Przyjaciela wielka, a czem go Bóg obdarzył tem chętnie służy tym, co mają być kiedyś obywatelami i obywatelkami kraju. Że zaś pracą swą przynosi pożytek, to nie jego zasługa; usposobienia w pewnym kierunku działalności, nie zależą od woli naszej, ale od Tej, co wszystkiemu dała początek. Jakże jednak natura tej dziatwy kochanej musi być dobrą, kiedy słowa rady i zachęty serdecznem uczuciem przyjęte, tak zbawienny wpływ wywarły. Na listy jak nadeślą, w samym Przyjacielu Dzieci odpowiedź zostanie pomieszczoną.

Pani Emilii L. w Jaronowicach. Do wysłanego kapelusza naddaliśmy rs. 1 kop. 26, o odesłanie których prosimy.

Panu Zygmuntowi S. w Strzelnikach. Pieniędzy nie wystarczyło na wszystkie zeszyty encyklopedyi; pozostało w depozycie naszym kop. 60.

Pani Klarze D. w Małej Meczetnie. Resztę sprawunków, mianowicie prześcieradła porobione, guziki do kołder, poszewek i jaśków, wysłaliśmy nie czekając dłużej na odpowiedź. List z rachunkiem wyprawiony niebawem po wysyłce paczki.

Pani Józefinie T. w Peczanówce. Co robić mamy z nadesłaną spódnicą i tuniką jedwabną?

Pani Amelii R. w Sołodkowcach. Gorsety z pasami elastycznemi trzeba zamówić, bo gotowych nie masz jeszcze. Gorset podobny najmniej rs. 10 kosztować będzie. Na filozellę można przysłać markami pieniądze.

Pani Maryi T. w Charkowie. Książki wysłane, z listu zrobiony zostanie właściwy i odpowiedni użytek. Przeszłoroczny naddatek potrącony.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 29 Сентября (11 Октября) 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.



N. 1. Kapelusz jesienny.

Opis do N. 41.

(Dokończenie).

N. 10. Ubranie negliżowe z kaftaniczkiem odznaczonym garnirunkiem. Krój podług ryc. 23—24 w N. 14 Tygodnika.

Model szlafroka przykrojony był podług wyżej wskazanej formy, tylko na podpięcie z tyłu dodano do drugiej części pleców, (Fig. 36) 50 cent. długości w środku a po 36 z brzegów bocznych. Na szafirowym kaszmirowym szlafroku, kaftanik odznaczony był plisowaniem z materyi niebieskiej i koronką nicianą niewarową. Kokardy ze wstążki ciemno ponsowej.

N. 11. Teka na rysunki pamiątkowe albo cenne rękopisma, oprawna w aksamit szafirowy z okuciem srebrnem. Monogram i gałązki mirtowe haftowane srebrem, ściegiem płaskim.

N. 12. Wstawka z siatki gipiurowej, N. 13—14. Wstawka i ząbki robione na drutach.

N. 16—16-a. Tło w pasy i szlak do kołdry, robota na drutach. Bawełna estramadura N. 5.

Na kołdrę 174 cent. szeroką potrzeba 6 pasów wązkich i 5 szerokich; pasy robią się po dwa razem, jeden wązki drugi szeroki, tylko na pas końcowy robi się pas szeroki z dwoma wązkiemi po brzegach. Wykończone pasy zeszywa się z lewej strony okrętką. Ryc. 16-a, przedstawia próbkę szlaku w naturalnej wielkości w którego zębach powtarzany jest wciąż deseń szlaku wązkiego a pas środkowy zdobią takie muszki jak w pasie szerokim. Szlak robi się wzdłuż tam i napowrót a brzeg zakończa w zęby. Na jeden powtarzający się pasek deseniu potrzeba o. 21, te w rzędzie 1-szym obrabia się * 3 o. kręc., 3 gł., 1 zgu., potem 8 razy raz po razie przybrać 1 gł., 1-no zgu. od 3 gład., powtarzać od gwiazdki. Rzęd 2-gi. * 2 o. kręc., 1-no z gu. od środka kręto, 16 kręc., zgu. 1 kręc., 2 o. kręc., 3 o. gł. powtarzać od *. Rzęd 3-ci. * 3 o. kręc., 1 o. gł., 1-no zgu. gł., 16 gł., zgu. od środka gł., 1-no gł.; powtarzać od *. Rzęd 4-ty * Zgu. od środka kręc., 16 o. kręc., 1 zgu. kręc. 3 o. gł.; powtarzać od *. Gdy się te 4-ry rzędy powtórzy 5 razy, obrabia się 2 razy gł., raz kręc. i jeszcze raz gładko. W następnym rzędzie zacząć muszki wypukłe na tle krętem, na które w 1-szem obrobieniu powtarza się ciągle: 1 o. przybrać, 1 gł., 1-no przybrać, 8 kręto. W drugiem obrobieniu nie przybiera się ani gubi tylko o. przy-



N. 2. Kapelusz bez główki, do teatru na koncerta i t. p.



N. 3. Paletot skośnie zapinany. Opis przy ryc. 16 w N. 40. Krój na arkuszu N. I, Fig 1—7-a.



N. 4. Torebka na druty. Krój na arkuszu N. VI, Fig. 25.



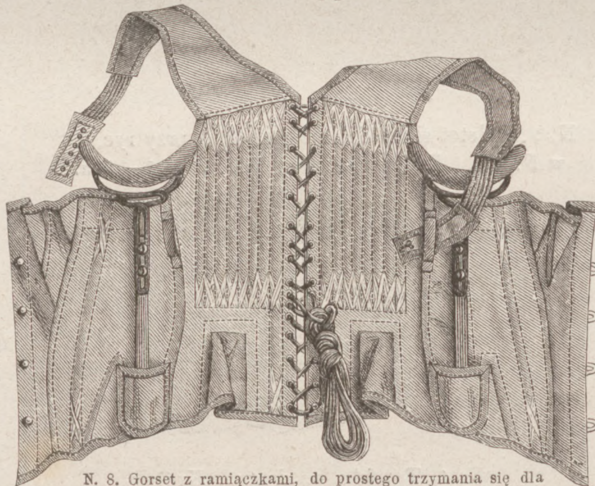
N. 5. Suknia zdobna koronką siatkową.

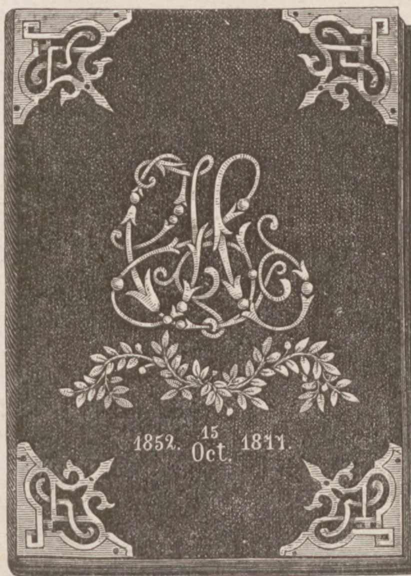


N. 6. Suknia z vêtement z tyłu zapinanem. Krój na ark. N. VII, Fig. 33—36a.

brane robi się zawsze kręto, resztę tak ażeby muszki były gładkie a tło kręte. Tak robi się wszystkie rzędy z liczbą parzystą opiszemy więc tylko rzędy nie parzyste. Rzęd 3-ci. 1-no o. gł., przybrać 1 gł., przy., 1 gł., 8 o. kręto. Rzęd 5 2 o. gł., 1-no przy., 1 o. gł., 1 przy. 2 gł., 8 kręto. Rzęd 7-my 3 o. gład., 1 przy., 1 gł., 1 przy., 3 gł., 8 kręto. Rzęd 9. Raz zgubić od środka, 5 o. gł., 1 zgu. gład., 8 krę., Rzęd 11 1 zgu. od środka, 3 o. gł., 1 zgu. gł. 8 o. krę. Rzęd 13. 1 zgu. od środka, 1 gł., 1 zgu. gł., 8 kręto. 15. 1 zdjąć, 1 zgu. i zdjęte przez nie przeciągnąć, 8 kręto. Rzęd 16 gładko, 17 i 18 kręto. Zbyteczne będzie dodawać że wszystkie rzędy nieparzyste powtarza się przez całą długość szlaku. W rzędzie 19 ciągle naprzemian raz przybrać raz zgubić od środka, rzęd 20 kręto, 21 i 23 jak 19-ty, obrabiając rzęd 19, 21 i 23, zawsze oko gubione i oko przybrane robi się razem. Rzęd 22 i 24 kręto, 25 i 26 gładko, 27 kręto, rzęd 28 gł. i zarobić od lewej strony. Zęby u dołu obrobić szydełkiem o. ści. drugi zaz pikotami. Szlak najlepiej robić oddzielnie do każdego z 4-rech brzegów kołdry, a w rogach spajać skośnie, prosto, albo przymarszczyć. Ponieważ wązkie pasy w kołdrze, oprócz deseniu takiego jak w zębach szlaku, mają jeszcze po brzegach paski ażurowe chcąc więc robić po 2 pasy razem zaczyna się na ocz. 87, z których na pas wązki liczy się o. 33, z których 5 o. początkowych i 4 o. końcowe stanowią brzegi ażurowe, oczy zaś środkowe przerabia się ciągle jak 4-ry początkowe rzędy szlaku, zakończając po brzegach paskiem krętym. Na szlak ażurowy zdejmuje się zawsze oko na początku druta, 2 następne robi się gł., 1 przy., 1 zgubić; z czterech na końcu 2 gład., 1 przy., 1 zgubić. Idąc do ręki prawej robić tak samo tylko oko początkowe gładko przerobić. Szlak środkowy liczy o. 54, z tych w pierwszym obrobieniu 20 o. od początku i od końca na przemian 1 o. gł., jedno kręto, ostatnie na końcu druta zawsze gładko; w środku na skośną kratę, 3 o. krę., 3 o. gł., 1 krę., 3 gł. 3 krę. Odwróciwszy robotę pierwsze zdjąć, dalej zawsze taka że by wskazane na deseniu oczy kręte wyglądały z prawej strony kręto a gładkie gładko. Rzęd 3-ci jak pierwszy. W dalszych trzech rzędach rzucik na tle zmienia się w ten sposób, ażeby nad o. krętemi były gładkie a nad gładkiemi kręte; zawsze co 3 obrobienia krata z obydwóch brzegów rozszeża się o 1-no oko a tło brzeżne o jedno oko zwęża. Po 9-ciu obrobieniach kręte tło w kracie liczy o. 5; w 10-tem obrobieniu zaczyna się drugie środkowe, gładkie odznaczenie kraty, pozostawiając przy pierwszem odznaczeniu po 3 o, kręte a w środku dając 1-no gładkie. W 13 obrobieniu są w środku 3 o. gładkie, w 16-em oczek 5, w 19-em obrobieniu wypadłoby ocz. gł. 7, lecz pozostawiamy z brzegów po ocz 3, a w środkowem zaczynamy tło kręte do muszek opisanych przy robocie szlaku. Pierwszą muszkę zaczyna się w 31 obrobieniu, zostawiając z brzegów po 3 o. tła krętego, rzęd drugi w obrobieniu 51, a trzeci w rzędzie 68 w odstępie 8 o. od brzega. Odznaczenie kraty rozszerza się do 57 obrobienia, z obrobieniem 58 zaczyna się zwężać co 3 rzędy, a natomiast tło powraca stopniowo do swej pierwotnej szerokości. Ponieważ przy robocie pasów wązkich koniecznie muszą być zęby z brzegu, takowe więc w części podkłada się pod szlak a kąty zapełnia się kratką, jak to widać na ryc. 16.


N. 7. Kwadrat z siatki gipiurowej filet-antique.


N. 8. Gorset z ramiączkami, do prostego trzymania się dla panienki lat 11—13. Krój na arkuszu, N. XI, Fig, 48—56.



N. 11. Teka na rysunki lub t. p. Deseń na arkuszu Fig. 60.


N. 9. Suknia zdobna plisowaniem.

N. 17. Monogram do znaczenia poszewek lub bielizny stołowej. Haft atłaskowy, sznureczkowy supełkowy, bawełną w dwóch kolorach.

N. 18—19. Szlaczki do bielizny.

N. 20—21. Garnirunki do spódnic, kaftaników lub fartuszków.

Obydwa garnirunki mogą być, zarówno białe jak i kolorowe, albo też z perkalu w dwóch kolorach. Robota zbyt łatwa nie potrzebuje opisu; zwłaszcza że próbki dajemy w naturalnej wielkości. Dodamy tylko że pliski powinny być skośne, a brzeżek przy ryc. 20 stanowi torsadka robiona na widełkach w górze do pełniona robotą szydełkową.

N. 22. Kapelusz jesienny. Opis przy ryc. 1.

N. 23—25. Sposób czesania dla młodych osób.

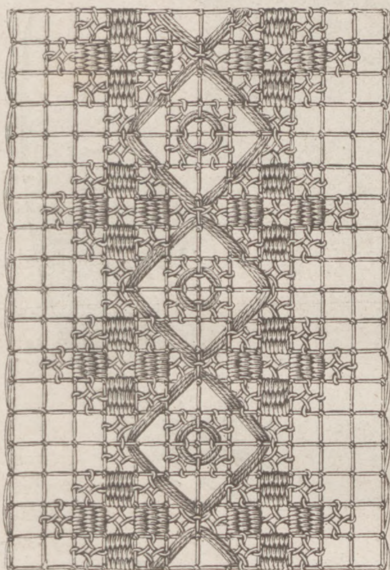
Część włosów oddziela się do przodu, resztę wiąże z tyłu głowy, dzieli na dwoje i skręca


N. 10. Negliż z odznaczonym kaftanikiem.

na dwa warkocze, z których następnie jeden zdobi głowę z przodu a drugi spuszcza się z tyłu w pukiel w sposób wskazany na ryc. 23—24. Przedtem włosy podczesuje się w górę na małej podkładce, przywiązuje przy warkoczach z tyłu i układa na głowie w dwa pukle. Włosy gęste a niezbyt długie, można tak uczesać bez żadnych obcych dodatków. Do strojnego ubrania przypina się kwiaty, do mniejszego opasuje czarną aksamitkę, która zwłaszcza przy jasnych włosach, bardzo dobrze odbija.

N. 26. Kołnierz hiszpański z muślinu i koronki.

Prosta muślinowa falbanka oszyta szeroką koronką, drobno plisowana stanowi tak dziś modny kołnierz hiszpański, który zarówno do głęboko zachodzącego pod szyję jak i do podłużnego wykroju może być dopasowany. Do wykroju podłużnego układa go się na muślinowej listewce, garniruje w górze fryzką plisowaną i zapina kokardą ze wstążki.


N. 12. Wszywka z siatki gipiurowej.

N. 27. Chusteczka szalowa. Krój na dodatku z formami N. IX, Fig. 40.

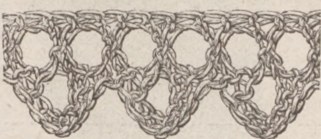
Biała muślinowa chusteczka garnirowana jest niebieską nicianą koronką, 2 $1/2$ cent. szeroką, która na wstawkę spaja się wząbki obrócone do środka i wchodzące jedne w drugie; wstawki dają się w równych odstępach na pleckach i z przodu. Do garnirowania chusteczki przyszywa się koronkę do białego, 2 cent. szerokiego tiulu i plisuje drobno; na tiul zachodzi druga, prawie gładko przyszyta koronka. Końce z przodu zfałdowane do 5 cent. szerokości, przekłada się na krzyż i zapina kokardą ze wstążki niebieskiej, 3 cent. szerokiej. Wszycie wstawek i miejsce przefałdowania końcy, oznaczone jest na Fig. 40.

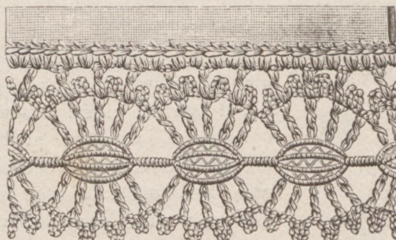
N. 28. Kaftanik skośnie zapinany. Krój II, Fig. 8.

Kaftanik kraje się podług formy do paltocika ryc. 3 i do ryc. 16 w N. 40, którą skrócić trzeba podług miary. Przody rozchodzące się u dołu, w górze zachodzą skośnie jeden na drugi, i zapinają się na kryte haftki. Miary długości i potrzebną zmianę w kroju przodów podajemy na zmniejszonym rysunku Fig. 8. Boczki i plecki skrócić podług bocznej długości przodu. Przód do paltocika oznaczony jest punkcikami, a linje wskazują (na Fig. 8) potrzebną zmianę kroju. Model odrobiony był z czarnego kaszmiru z podszewką fularową, plisy 6 i 4 $1/2$ cent. szerokie,


N. 15. Kołdra w pasy robione na drutach. Patrz ryc. 16.


N. 17. Monogram do znaczenia bielizny stołowej lub na pościel.


N. 14. Ząbki robione na drutach.


N. 18. Koronka robiona szydełkiem.

N. 19. Koronka szydełkowa z tasiemeczką.

zakończone wypustką ze sznureczkiem, były z jedwabnego repsu. Gładkie, 16 cent. wysokie mankiety oszyte wypustką, zdobią kokardy ze wstążki 6 cent. szerokiej, z której także ułożona kokarda z długiemi końcami do spięcia kołnierza. U dołu suta, 12 cent. szeroka frendzla jedwabna.

Opis do N. 42.

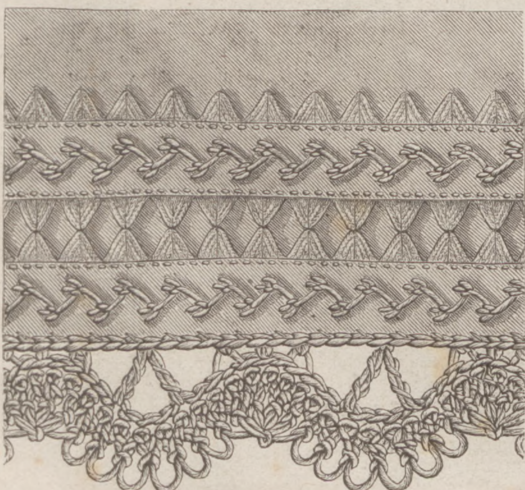
N. 1. Ubranie z vêtement. Krój podług ryc. 6 w N. 41 Tygodnika.

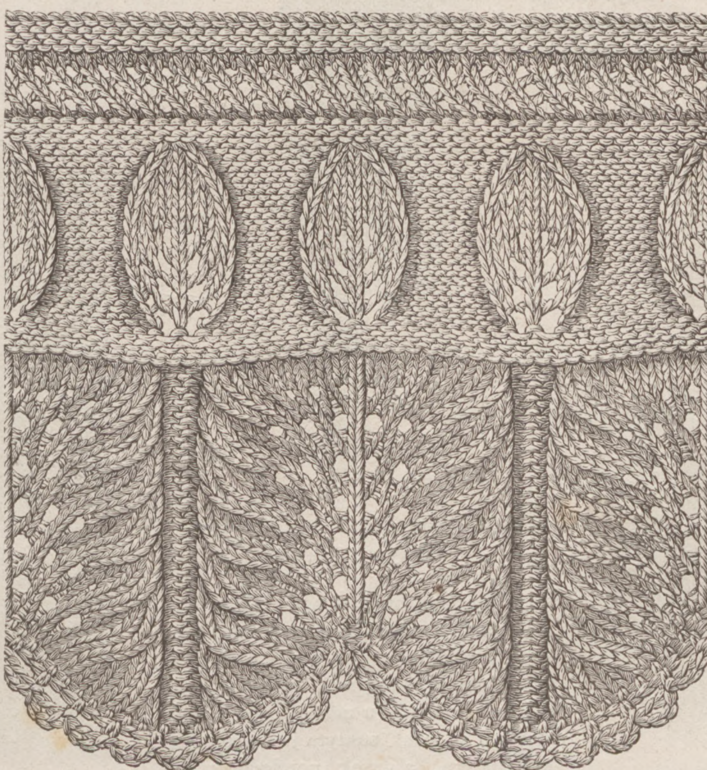
Spódnica z czarnego Faille z brzegu tylko oszyta jest wąskiem plisowaniem; vêtement z wełnianego materyału ma przody i boczki układane w dolnej części w poprzeczne kontrafałdy, górne zaś części przodów zapięte na guziki. Na fałdy trzeba w krajaniu dodać potrzebną ilość materyału. Brytytylne krajane razem z pleckami są zeszyte w środku, w górze zfałdowane i trochę podpięte, z boków zaszyte w fałdy oznaczone na Fig. 36, oszyte garnirunkiem i przyczepione gdzie nie gdzie na wierzchu do boczków związanych do tyłu pod niemi. Drobne plisowanie przy vêtement oszywa się wąziutką koronką albo wypustką jedwabną, która może być odmiennego koloru. Na przeszyciu nagłówka daje się wązką, marszczoną koronkę nicianą. Kokardy mogą być ze wstążki w dwóch cieniach 5 $1/2$ cent. szerokiej albo z tej co spódnica materyi podszyte materyałem wełnianym. Do wyjścia kładzie się płaszczyk, paltot lub inne ciepłe okrycie.

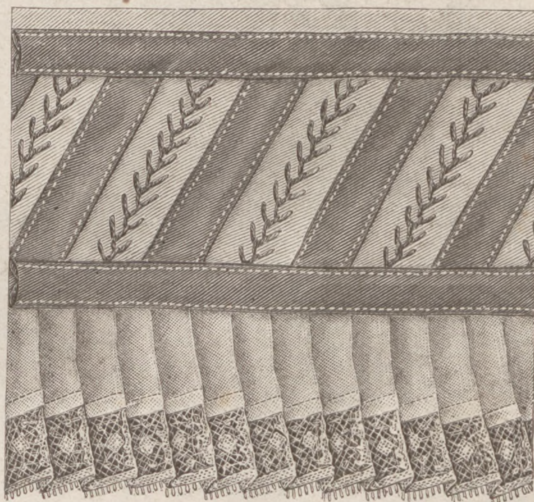
N. 13. Wszywka robiona na drutach.

N. 2. Suknia z kaftanikiem dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 20—21 w N. 40 Tygodnika.

Kaftanik i suknia formą princesse z wełnianego materyału, ozdobione są oprócz plisowania, galonami haftowanemi albo szmuklerskiemi. Model odrobiony był z kaszmiru niebieskiego, zarówno jak i szarfy 20 cent. szerokie, wszyte między szwy boczne i związane z boku.


N. 20. Przybranie do spódnic fartuszków i t. p.


N. 16-a. Szlak do kołdry ryc. 15.


N. 21. Przybranie do spódnic i t. p.

N. 3. Vêtement skośnie zapinane dla małej panienki. Krój podług ryc. 20—21 w N. 40 Tygodnika.

Spódniczka i długie vêtement formą princesse, odrobione były z materyału ciemno bronzowego; oprócz takiegoż samego plisowania vêtement ozdobione było falbanką jaśniejszą haftowaną w maszynie. Falbankę zastąpić może koronka niciana; przody zapinają się skośnie na guziki kamienne formą kulek.



N. 22. Kapelusz jesienny. Patrz ryc. 1.



N. 23. Uczesanie głowy wieczorowe dla młodej osoby.



N. 24. Uczesanie głowy. Przód patrz ryc. 22.

N. 4—5. Wstawki z ząbków z tasiemki, do bielizny.

Robota wstawek dokładnie wskazana jest na próbkach, dodamy tylko że trwałość zależy głównie od starannego spajania i zeszywania.



N. 26. Kołnierzyk hiszpański z muślinu i koronki.

N. 6—9. Przykrycie na stolik do szycia. Haft kolorowy z aplikacyą.

Kawałek sukna jasno popielatego filcowego, 120 cent. długi a 42 cent. szeroki na tło; ciemno zielone i czerwonawo--bronzowe sukno na szlaki, włóczka niebieska i szafirowa angielska albo Crewel, dwa cienie filozeli niebieskiej i 2 cienie mchowo-zielonej, jedwab kordonkowy ciemno-zielony, maisowy, ciemno ponsowy i bronzowy.

Na ryc. 7—9 podajemy w naturalnej wielkości próbki pojedyńczych części deseniu i zarazem wyraźne próbki ściegów; Ryc. 7 przedstawia całą szerokość szlaku do podłużnej strony, przy którym z brzegu wystaje tło jasno-popielate w ząbki wycięte zatem pas 6 cent. szeroki sukna bronzowego lub sarniego koloru, brzegi pasa przymocowane są nitką szafirowej włóczki przeszytej w równych odstępach poprzecznemi ściegami kordonku maisowego. W odstępie 1 $1/2$ cent. naszyta jest druga taka włóczka, a pasek pomiędzy niemi zdobią dłuższe i krótsze ściegi maisowe. Środek pasa zapełnia podwójna krata z włóczki niebieskiej i szafirowej przeszyta kordonkami takich samych kolorów i ozdobiona krzyżami z zielonego kordonku. Na widocznym pasie tła wyszyta cienka kratka kordonkiem ponsowym lub popielatym, przeszywana ściegami maisowemi, nakoniec pasek sukna zielonego przyszyty prostemi niciami włóczki jak i poprzedzający a wyszyty filozelą jasno-zieloną, ściegiem łańcuszkowym. Poprzeczne brzegi przykrycia naszyte są pasem ciemno-zielonym gładkim, którym idzie pas drobnej kratki wyszytej na tle, za tem przyszyte jest sukno bronzowe 7—8 cent. szerokie, na którym u góry odznaczony jest pasek jak przy brzegach podłużnych, a dalej wycięte zęby w maszynie. Przez dwa brzeżne zęby przechodzi pas zielony, jak to widzimy na ryc. 9; insze zęby wyszyte są w sposób na ryc. 9 wskazany, ściegiem łańcuszkowym, kordonkiem ponsowym i bronzowym, a kwadraciki filozelą niebieską; ścieg cierniowy robiony kolorem maisowem. Zęby w górze nad szlakiem odznaczone także włóczką szafirową a zapełnione ściegiem dzierganym cienką filozelą lub pelą niebieską i szafirową z maisowemi żyłkami przez środek. Nakoniec w bukiecie nad szlakiem liście boczne są także niebieskie w dwóch cieniach a środkowe mchowo-zielone z żyłkami ponsowemi; wąsy i gałązki odznaczone włóczką szafirową przeszywaną kordonkiem maisowym.

(d. n.)



N. 27. Chusteczka szalowa. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 40.



N. 25. Sposób układania włosów do ryc. 23—24.



N. 28. Kaftanik skośno zapięty. Krój na arkuszu N. II, Fig. 8.

N. VII. [illegible] z tyłu zapinane, do ryc. 6 w N. 41.

Miara połowy górnej objętości stanu 46, w pasie [illegible] cent. Linije punkcikami oznaczone podają długość baskiny do stanika, do ryc. 31 w N. 40, któren przykroić można podług tej formy.

Fig. 33. Przodek (A, C, D, E).

Fig. 34. Boczek (A, B).

Fig. 35. Plecy (B, C, D, . 1 X 1 do . 2 X 2).

Fig. 36. Rękaw (E, F, G, H).

Fig. 33-a—36-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy do ryc. 6.

N. VIII. Okrycie jesienne. Ryc. 2 w N. 40.

Fig. 37. Przód (I, K, L, M, N, O, P, R. 1-no załamanie formy).

Fig. 38-A. Górna część pleców i rękawa, z liniją oznaczającą przecięcie formy (N, O, P, Q, R, S, : , *).

Fig. 38-B. Dolna część pleców i rękawa z liniją oznaczającą przecięcie formy (I, K, L, M, : , * , jedno załamanie).

Fig. 39. Połowa kołnierza (Q, S).

Fig. 37-a—39-a. Zmniejszony rysunek formy okrycia.

N. IX. Chusteczka szalikowa. Ryc. 2 w N. 41 Tygodnika.

Fig. 40. Połowa chusteczki (X 3 . 3 X 4 . 4).

N. X. Kostium bretoński formą princesse, dla panienki lat 4—6. Ryc. 26—27 w N. 40.

Fig. 41. Połowa środkowej części przodu (a, b, k).

Fig. 42. Druga część przodu (a, b, c, d, l).

Fig. 43. Boczek przedni (c, d, e, f, i).

Fig. 44. Boczek drugi (e, f, g, h).

Fig. 45. Plecki (g, h, k, l, X 5 . 5).

Fig. 46. Rękaw (m, n, o, p).

Fig. 47. Deseń do wyszycia na galonach do sukienki.

N. XI. Gorset z paskami do prostego trzymania dla panienki lat 11—13. Ryc. 8 w N. 41.

Fig. 48. Przód (1, 2, 5, 6, 7, 8).

Fig. 49. Boczek (1, 2, 3, 4, 9, 10, 11, 13, 19, 20, 21, 22).

Fig. 50. Plecy (3, 4, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 21, 22).

Fig. 51. Pierwszy ćwikiel w piersiach (5, 6, 7).

Fig. 52. Drugi ćwikiel w piersiach (1, 8, 9).

Fig. 53. Pierwszy ćwikiel w biodrach (10, 11, 12).

Fig. 54. Drugi ćwikiel w biodrach (13, 14, 15, 16).

Fig. 55. Ramiączko z paskiem (17, 18).

Fig. 56. Kieszonka na koniec od ramiączka (19, 20).

N. XII. Długa mitenka, ryc. 22 w N. 40.

Fig. 57. Połowa mitenki (23, 24, 25, 26).

Desenie do ryc. 17—18 w N. 40 i do ryc. 11 w N. 41 Tygodnika.

Fig. 58. Deseń do haftu płaskiego, łańcuszkowego, i do wyszycia sutaszem na fartuszku ryc. 17.

Fig. 59. Narożnik do fartuszka ryc. 18. Ścieg stębnowany, sznureczkowy lub łańcuszkowy, albo wyszycie sutaszem.

Fig. 60. Część gałązki mirtowej do teki tyc. 11 w N. 41. Haft płaski złotem lub srebrem.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 40 i 41.

N. I. Paletocik skośnie zapinany, ryc. 16 w N. 40 i ryc. 8 w N. 41 Tygodnika Mód.

Fig. 1. Spodnia połowa przodu z linijami punkcikowemi oznaczającemi krój zwierzchniej połowy (A, E, F, G, N).

Fig. 2. Boczek z wyłożoną klapką (A, B, C, D).

Fig. 3. Plecy (C, E, F, M).

Fig. 4. Rękaw (G, H, I, K, L, +).

Fig. 5. Spodnia część mankieta (K, :, , +).

Fig. 6. Zwierzchnia część mankieta (H, L, :, *).

Fig. 7. Połowa kołnierza (M, N).

Fig. 1-a—7-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części paletocika.

N. II. Kaftanik skośnie zapinany, ryc. 28 w N. 41 Tygodnika Mód.

Fig. 8. Zmniejszony rysunek przodu do kaftaniczka, któren dopasować można z łatwością podług formy N. I.

N. III. Suknia formą princesse dla panienki lat 9—11. Ryc. 20—21 w N. 40 Tygodnika.

Fig. 9. Przód (O, V, W).

Fig. 10. Boczek przedni (O, P, Q, R, X).

Fig. 11. Boczek do pleców (Q, R, S, T, U, :, *).

Fig. 12. Plecy (S, T, V, W, :).

Fig. 13. Rękaw (X, Y, Z, +).

Fig. 14. Mankiet (Y, +, .).

Fig. 9-a—14-a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy Fig. 9—14.

N. IV. Kaftanik bez rękawów do ryc. 20—21 w N. 40.

Fig. 15. Przód (a, b, h, i).

Fig. 16. Boczek (a, b, c, d, e, f, g, :, *).

Fig. 17. Plecy (c, d, e, f, g, h, i).

Fig. 18. Połowa kieszeni (:).

Fig. 19. Pierwsza część ubrania do kieszonki (:, +).

Fig. 15—20. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy do kaftanika.

N. V. Fartuszek formą sukienki, dla dzieci lat 1—3. Ryc. 25—29 w N. 40 Tygodnika.

Fig. 21. Połowa środkowej części przodu (k, l).

Fig. 22. Druga część przodu (k, l, m, n, q, r).

Fig. 23. Boczek (m, n, o, p).

Fig. 24. Plecy (o, p, q, r).

N. VI. Woreczek na robotę na drutach ryc. 4 w N. 41.

Fig. 25. Połowa jednej części woreczka wraz z deseniem haftu.

Desenie do ryc. 8, 10, 13, 19, 31 w N. 40.

Fig. 26. Deseń do wyszycia na ręczniku ryc. 8.

Fig. 27. Litery (U, l, t, do ryc. 8.

Fig. 28. Czwarta część deseniu do ryc. 19.

Fig. 29. Narożnik do krawatki, do ryc. 31. Robota koronkowa.

Fig. 30. Część deseniu do dziergania na podwiązce ryc. 13.

Fig. 31. Deseń do poszewki ryc. 10.

Fig. 32. Narożnik do chustki do nosa. Haft w tamborku.



